



NR 11 * CZERWIEC 2018 * ISSN 2449-6251

MOKOPOLITAN

FANTASTYKA BEZ GRANIC



CHODOROWSKA
MARCHWIŃSKA * MIKULSKA
PALTSUN * SAMATAR * STANISZ
NAGRODZONY HUGO
ESEJ KAMERON HURLEY



SMOKOPOLITAN

TEMAT NUMERU

Przygody wirtualnych kowbojów po cyberpunku 3

OPOWIADANIA ZAGRANICZNE

Przewidywacz 10

Ogry Afryki Wschodniej 58

OPOWIADANIA

Z prochu powstaniesz, Ziemię 12

Rajski ptak, rajska dusza 30

Szansa 40

Kobieta w czerwonej sukience 48

RECENZJE

Scenki z życia wiedźmina 66

Fantazje dla wszystkich 70

Japoński cyberpunk 72

PUBLICYSYTYKA

Sny o lubieżnych ośmiornicach 74

PUBLICYSTYKA ZAGRANICZNA

Walczyliśmy od zawsze. 82

REDAKTOR NACZELNY: Elin Kamińska
elin.kaminska@historiavita.pl
WYDAWCA: Fundacja „Historia Vita”
ADRES REDAKCJI: os. Akademickie 6/22, 31-866
Kraków, redakcja@historiavita.pl, www.smokopolitan.pl
ISSN 2449-6251
REDAKCJA TEKSTÓW: Paweł Majka, Karolina Łukasik,
Katarzyna Koćma, Michał Szymański, Magdalena
Kucenty, Anna Jakubowska, Elin Kamińska, Piotr
Zawada, Anna Grzanek, Magdalena Grajcar
PRZEKŁAD OPOWIADANŃ: Magdalena Grajcar,
Magdalena Czarnaśka, Gata Kinga Kowalewska
SKŁAD I ŁAMAMANIE TEKSTU: Samanta Rakoczy,
Krzysztof Bernacki
WYDANIE ELEKTRONICZNE: Anna Jakubowska

KOREKTA TEKSTÓW: Michał Szymański, Katarzyna
Koćma, Magdalena Kucenty, Anna Jakubowska,
Anna Dudąło, Anna Grzanek, Natalia Tront, Samanta
Rakoczy
RYSUNEK NA OKŁADCE: Arkadiusz Haratym
ILUSTRACJE: Anna Tomiczek, Katarzyna Szewiola-
Nagel, Joanna Cyd Petruczenko, Alicja Marczyk,
Żaneta Kociołek, Katarzyna Szymonik, Justyna
Karaszewska
PROJEKT LOGOTYPU: Adrianna Depta
PROJEKT OKŁADKI: Piotr Zawada
WSPÓŁPRACA: Paweł Majka, Marcin Klak, Alicja
Tempłowicz, Tomasz Kozłowski, Juliusz Braun
WSPÓŁPRACA MEDIALNA:
Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka

Przygody wirtualnych kowbojów po cyberpunku

Tomasz Kozłowski

Cyberpunk nie wymyślił przestrzeni wirtualnej. Literatura science fiction wcześniej zdała sobie sprawę z konsekwencji rozwoju coraz to doskonalszych sprzętów komputerowych i wiedziała, jakie ma to znaczenia dla kreowania sztucznych światów, innych rzeczywistości oraz społecznych konsekwencji pograżania się w elektronicznej fikcji. Działo się to na długie lata, zanim umożliwiające to technologie stały się dostępne dla szerszej publiczności. Opisy cybernetycznych światów jeszcze w latach 60. trafiły do dalekiej, prowincjonalnej Polski, gdzie w książkach Stanisława Lema można było

zapoznać się z istotą fantomatyki. A potem nadeszły lata 80. i cyberprzestrzeń trafiła do kultury masowej.

Opisywane przez Williama Gibsona, Bruce'a Sterlinga czy Pat Cadigan wizje równoległego świata często czyniły go osiągalnym tylko w nielegalny sposób – poprzez włamanie się do strzeżonych serwerów potężnych korporacji, z wykorzystaniem ekwipunku, który szybko zastąpił kombinezony kosmiczne jako główny atrybut postaci z science fiction. Bohaterami byli młodzi ludzie – żyjący poza prawem, nie znajdujący dla siebie miejsca w rozpadającym się społeczeństwie ponurej przyszłości.

Cyberprzestrzeń tych autorów to kraina nieograniczonych możliwości. Liczy się w niej tylko determinacja i umiejętności hackerskie. W wirtualnym świecie nawet wyrzutek ze slumsów – jeśli tylko ma na siebie pomysł – może skutecznie konkurować z największymi graczami z całego świata. Oczywiście, zostanie skutecznym rewolwerowcem elektronicznego Dzikiego Zachodu nie jest tanie. Potrzeba drogiego sprzętu (ten można ukraść albo zmontować we własnym garażu), ale też i chemicznej stymulacji – żeby zwiększyć własne możliwości. Chemiczne modyfikowanie mózgu staje się również narzędziem walki z przeciwnikami, jak w przypadku zatracia mykotoksyną Casëa, bohatera *Neuromancera*.

Prezentowany w ten sposób wirtualny świat to z jednej strony śmiertelnie groźna pułapka, a z drugiej mityczna kraina, do której Campbellowski bohater wyrusza, żeby zaliczyć kolejne etapy opowieści.



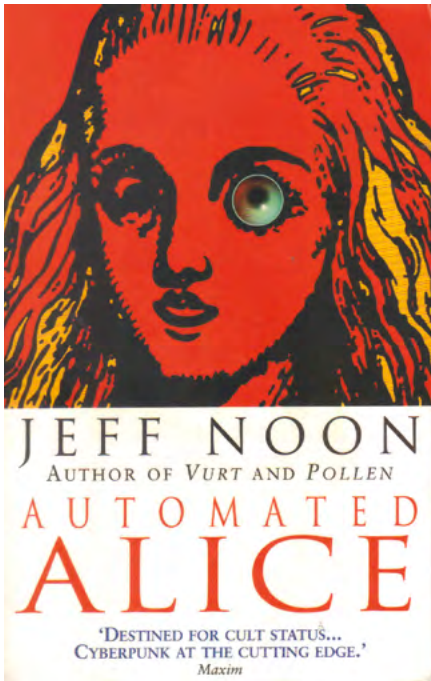
Cyberprzestrzeń była przestrzenią pomiędzy urządzeniami i komputerami, sposobem komunikacji, wymiany danych i najważniejszych analiz. Różni autorzy pokazywali ją jako arenę walk z zabezpieczeniami, innymi użytkownikami albo też świadomymi sztucznymi inteligencjami, dla których cyfrowy świat był domem i miejscem, gdzie mogą dyktować warunki.

Jedną z rzeczy, które najlepiej zapamiętaliśmy z cyberpunku było podejście do technologii – technika przyszłości jest czymś, co już dawno wyrwało się spod ludzkiej kontroli. Wszystko, łącznie z wirtualną rzeczywistością, jest narzędziem do kontrolowania i zniewalania szerokich warstw społecznych. Jest to technokratyczny, autorytarny świat, w którym każdy – nawet ci wielcy liderzy korporacji – posiada ściśle przydzielone miejsce i nikt nie ma prawa do buntu. Cyberpunk był ideowym spadkobiercą *Nowego, wspaniałego świata* Huxleya, gdzie wyłącznie buntownicy spoza establishmentu mają szansę, żeby coś zmienić, ale i tak ostatecznie zostaną zmiżdżeni przez rozpędzonego molocha opresyjnego systemu.

Z taką wizją zostawiły nas lata 80. Nie wiele powodów do optymizmu, bez żadnej nadziei na świetlaną przyszłość. Ale już wkrótce miał powiać wicher zmian. Zarówno jeśli chodzi o rozwój sytuacji na świecie czy technologii, jak i literatury.

W roku 1993 William Gibson wydaje powieść *Światło wirtualne*, w której stara się pokazać społeczne konsekwencje rozwijanej technologii. Tymczasem rok wcześniej pojawia się książka, która zaskakuje zupełnie innym ujęciem problemu.

Przyzwyczajeni do ponurego tonu literatury poprzedniej dekady, czytelnicy mogą być mocno zaskoczeni, sięgając po *Zamieć* Neala Stephnsona. Po ambitnych wizjach science fiction można było oczekiwać



wszystkiego, tylko nie humoru. A tutaj przygody działającego na pograniczu realnego i wirtualnego świata Hiro Protagonisty (*sic!*) to chwilami wielka komedia omyłek z lawirowaniem pomiędzy sektami religijnymi, mafią (której jedną z ważniejszych aktywności jest dowożenie pizzy) i światem hakerskim.

Razem z takim bohaterem trafiamy do metawersu: chaotycznej płataniny miejsc tworzonych przez wielu programistów, z których każdy miał zupełnie inną wizję i nie przejmował się tym, co robili pozostali. Każdy chciał osiągnąć jak największe korzyści. Hiro jest najwybitniejszym szermierzem w historii tego świata, głównie dlatego, że sam definiował zasady wirtualnych pojedynków.

Główną różnicą między metawersem a wcześniejszymi wyprawami do wirtualnego świata jest posiadanie własnego awatara. Dla dzisiejszego czytelnika kreowanie swojego

cyfrowego odpowiednika jest czymś oczywistym. Nie trzeba do tego żadnej specjalistycznej wiedzy. Zaimplementowane programy zrobią to same. Metawers jest zjawiskiem powszechnym – nie trzeba już być hakerem ani specjalistą od nowych technologii, żeby przenieść się do innego świata. Teraz może to robić każdy, a możliwości ogranicza co najwyżej zamożność użytkownika.

Mimo że hakerzy i programiści, którzy przez lata współtworzyli cały projekt – tacy jak Hiro czy Da5id, wciąż cieszą się uznaniem i są uznawani za legendy metawersu, to szybko zostali odsunięci na boczny tor. W nowym świecie karty rozdają dobrze zorganizowane grupy, mające dostęp do zasobów. Pojedynczy haker może jeszcze działać, ale samodzielnie nie zmieni świata – żeby to zrobić, trzeba być częścią społeczeństwa i grać według reguł ustanawianych przez najsilniejszych.

W świecie *Zamieci* mafia może być liczącą się siłą głównie dlatego, że jest na bieżąco w wyścigu technologicznym, ściąga do siebie najzdolniejszych programistów i hakerów, budując w ten sposób swoją pozycję. To wciąż jest świat, gdzie o wszystkim decydują najpotężniejsi gracze, ale nie zdehumanizowane grupy z ponurej przyszłości. W nowej dekadzie znajduje się miejsce na kreowanie rzeczywistości, dokonywanie zmian i nadzieję na lepszą przyszłość. Jednak nikt nie zrobi tego samemu. Ten, kto na siłę pragnie zachować „etos” samotnego rewolwerowca, bardzo szybko wyłącza za burtą. Technologia pędzi do przodu, eliminując najsłabszych. Nie ma miejsca na samotników ani na narkomanów – oni sami skazują się na porażkę.

I to właśnie wizja prezentowana przez Stephensona, lepiej pasująca do epoki, skupiała w sobie zjawiska rozwijające się świat – cyberpunkowych hakerów,

równoległą rzeczywistość, którą można podziwiać i oglądać, a także świat kultury i rozrywki.

W kolejnej jego powieści – *Diamentowym wieku* – wrotami do wirtualnego świata staje się *Ilustrowany lekcjonerz każdej młodej damy*, stworzona przez zdolnego programistę multimedialna książka. Ma służyć jako przewodnik edukacyjny dla młodych dziewcząt. Z fabułą rozpiętą na całe lata – od wczesnego dzieciństwa aż po okres dorastania – kreuje wirtualny świat, w którym na podobieństwo gry komputerowej należy poznać zestaw reguł (w tym przypadku zasady działania maszyn Turinga i podstawy programowania) i wykorzystać je, żeby odnieść sukces.

Cybernetyczny świat pokazuje swoje czysto użytkowe oblicze – staje się narzędziem do uzyskania odpowiedniego statusu społecznego. Taki projekt wymaga olbrzymiego nakładu środków (Chociażby zatrudnienia aktorów nagrywających swoje kwestie. Nie można poprzestać na przygotowanym wcześniej scenariuszu. Żeby *lekcjonerz* był skuteczny, musi dopasowywać się do działań swojego użytkownika.), a wobec tego jest bardzo elitarny – powstaje zaledwie kilka egzemplarzy urzędzenia, przeznaczonych dla wybranych. Cyberprzestrzeń oraz światy wirtualnych rozrywek coraz mocniej zbliżają się do siebie.

Kilka lat przed Stephensonem zdarzył się autor, który postanowił włączyć najważniejsze cyberpunkowe motywy – w tym przestrzeń wirtualną – w coś, co zupełnie nie przystawało do mrocznego świata bliskiej przyszłości – do klasycznej kosmicznej opery. W dyptyku Dana Simmonsa *Hyperion / Upadek Hyperiona* ważnym miejscem akcji jest megasfera.

W dalekiej przyszłości wirtualny świat tak bardzo się rozrósł i skomplikował, że



obecnie jest kompletnie niezrozumiałą dla wchodzących do środka ludzi. Dla nich przeznaczone są o wiele prostsze konstrukcje datasfery, służące za narzędzie komunikacji, jednak przy megasferze są one tylko dziecięcą zabawką, rzuconym ochłapem, którym można się zadowolić, nie wiedząc o tym, że głębiej istnieje coś więcej.

Zresztą zwyczajni ludzie nie są tu już nikomu potrzebni. Megasferę zamieszkują zaawansowane Sztuczne Inteligencje, porządkujące świat po swojemu. Dla nich to pierwotna rzeczywistość – za jej pomocą mogą podporządkować sobie drugą stronę. Skupione w strukturze TechnoCentrum, dokładnie kontrolują to, co dzieje się w świecie ludzi, toczą własne spory frakcyjne i przygotowują się do osiągnięcia wielkich celów. Nie są jednak jedynymi panami stworzenia, obawiają się niezbadanych obszarów sieci. Poza uczęszczanymi ścieżkami

czają się „lwy, tygrysy i niedźwiedzie”, które przerażają nawet najpotężniejsze sztuczne inteligencje.

Mamy tutaj klasyczny cyberpunkowy motyw – człowiek to tylko mało istotny pionek w wielkiej grze, toczącej się na tak wysokich poziomach rzeczywistości, że obejmuje całe układy gwiazdne i wykracza poza linearnie postrzegany czas. Przy czym to wcale nie wyklucza ludzi z gry. Wchodzący do megasfery haker może dowiedzieć się, jak funkcjonuje rzeczywistość, w której żyje. Nawet wszechpotężne sztuczne inteligencje mają swoje wady. Chociaż są praktycznie niezniszczalne, to wciąż mocno zależne od dopływu energii i informacji, które pochodzą ze świata materii. Tylko że walka z nimi ma swoją cenę. Wojna z technologią odcina od innych osiągnięć cywilizacji – transporterów pozwalających na natychmiastowe podróżowanie między planetami oraz od wszystkich metod zarządzania społecznościami rozrzuconymi po wielu planetach. Zniszczenie całej infrastruktury cofnie ludzkość o wiele stuleci.

Zupełnie inne ujęcie tematu cyberpunkowej przestrzeni zaproponował brytyjski autor Jeff Noon, w wydanej w 1993 roku powieści *Wurt*.

Wydawać by się mogło, że w tekście o wirtualnych kowbojach nie powinno być miejsca dla tej książki. Noon nie opisuje stehnicyzowanego świata bliskiej przyszłości, nie ma u niego komputerów, wirtualnych gogli ani typowych rekwizytów. W *Wurcie* kreuje alternatywne uniwersum, w którym za pomocą narkotyku, przyjmowanego pod postacią kolorowych piór, można przenieść się do innej rzeczywistości, przeżywać najróżniejsze przygody i odwiedzać niezwykle miejsca. Różnica pomiędzy *Wurtem* a „zwykłymi” narkotykami jest zasadnicza – *Wurt* pozwala na podróże grupowe. Ponadto

szybko okazuje się, że przejście pomiędzy rzeczywistością „prawdziwą” a „wirtualną” wcale nie jest jednokierunkowe. Ludzie mogą przedostać się do świata swoich marzeń, ale również istoty stamtąd mogą przekroczyć tę granicę.

Główny bohater – Skryba – jest członkiem nihilistycznego, młodocianego gangu. Jego członkowie nie mają skomplikowanych potrzeb: zdobyć odpowiedni towar, żeby móc spędzać jak najwięcej czasu na „objechanych” podróżach. Problemy pojawiają się, kiedy jeden z takich tripów okazuje się fatalny w skutkach – ukochana siostra Skryby nie wraca do swojego świata, a na jej miejsce trafia coś innego. Żeby odnaleźć zaginioną dziewczynę, cały gang musi spróbować zrozumieć, na jakich zasadach funkcjonuje przechodzenie pomiędzy rzeczywistościami i czym tak naprawdę jest *Wurt*.

Prezentowane przez Noona krainy snów i marzeń mają w sobie więcej z wizji Lewisa Carrolla niż z tego, co widzieliśmy w klasycznej literaturze science fiction. Natomiast *Wurt* opowiada klasyczną historię o zejściu bohatera do podziemi, filtrując ją przez cyberpunkowe schematy. Bohaterowie są żyjącymi poza prawem wyrzutkami. W zwyczajnym świecie nie ma dla nich miejsca, nie mają szans, żeby cokolwiek osiągnąć. Dopiero podjęcie się do innej rzeczywistości za pomocą nowej technologii (w tym przypadku – narkotycznych piór) pozwala im na oddech, stanie się pełnymi ludźmi.

To pokazuje, że w cyberpunkowej czy też postcyberpunkowej (jeśli ktoś lubi tego typu łątki) opowieści można pominąć typowe dekoracje i skorzystać z zupełnie innego zakresu inspiracji, żeby opowiedzieć nową historię. Cyberpunk dołącza do postmodernistycznego arsenału środków pozwalających na zbudowanie dowolnej treści z dowolnymi elementami.

Tematem, który bardzo szybko połączył się z żeglowaniem wśród cybernetycznych oceanów, był szybko rozwijający się rynek gier komputerowych. W tym przypadku można nawet pokazać kilka przykładów z rodzimego podwórka, bowiem i polska literatura zaczęła już wtedy odnosić się do zjawisk występujących w pokomunistycznym świecie.

Bohater *Walcu stulecia* Rafała Ziemkiewicza, Orin Bethelen, jest ciekawym przypadkiem cyberpunkowego bohatera. To twórca niezwykle realistycznych gier wirtualnych, ale też postać z poprzedniej epoki – pisze swoje światy w pojedynkę, ma określony wizję tego, czym mają być wirtualne przygody. Kreuje bardzo rozbudowane koncepty, pozwalając wczuć się w skórę trzecio-planowych postaci uczestniczących w wielkich wydarzeniach historycznych. Potrafi spędzać długie godziny, testując swoje gry,



szukając dziur i niedociągnięć, ale nie osiąga sukcesu. Wprawdzie dostaje nagrody branżowe i cieszy się statusem kultowego autora, ale na współczesnym rynku elektronicznej rozrywki nie ma już miejsca dla ludzi takich jak on. Czasy, w których pojedynczy autor mógł tworzyć wspaniałe dzieła i prezentować je tłumom, odeszły. Teraz, jeśli chce się pozostać w obiegu, trzeba dostarczać produkt zgodny z wymaganiami wielkich firm. To one decydują, co będzie się podobać ludziom.

Tworzony obecnie przez Orina projekt gry, dziejący się na wielkich dworach europejskich tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, jest również odbiciem tego, co się dzieje w jego świecie – to też symbol epoki, która powoli przechodzi do historii, za chwilę zostanie brutalnie zmieciona z powierzchni ziemi.

W wizji Ziemkiewicza widzimy przemijający etos samotnego hakera-programisty. Przyszłość będzie należała do ogromnych koncernów, zatrudniających sztaby zwyczajnych, przeciętnych informatyków. Wirtualna przestrzeń staje się zatem u niego czymś w rodzaju azylu, miejsca do którego może wracać, żeby toczyć życie, jakiego pragnie, desperacko uciekając od szarej, codziennej egzystencji.

W *Irrehaare* Jacka Dukaja spoglądamy za to na temat z punktu widzenia gracza. W tej publikowanej niegdyś na łamach „Nowej Fantastyki” mikropowieści oglądamy świat ludzi zamkniętych w nowoczesnej (jak na owe czasy – rok 1995) wirtualnej grze akcji, z której nikt nie może się wydostać.

Właściwie nie wiadomo, co się stało. W pewnym momencie świat gry został całkowicie odcięty od otoczenia i nikt już nie mógł ani wejść, ani wyjść. A gra toczyła się dalej. Ze względu na swój charakter, poszczególni gracze ginęli, ale ich śmierć

wcale nie powodowała odejścia z systemu. Po prostu wciąż się odradzali, a każde takie zdarzenie stawało się coraz bardziej traumatyczne, wywołując nieodwołalne ślady na psychice.

Niektórzy usiłowali ułożyć sobie w grze zwyczajne życie. Przenosili się do spokojniejszych obszarów, z dala od regularnych działań wojennych. Próbowali zakładać rodziny. Ale gra okazywała się zbyt realna. Kiedy z takich związków zaczynały się rodzić dzieci, stawało się to nie do zniesienia. Gdy jednak pojawił się człowiek pozbawiony pamięci o swoim życiu poza grą, który ponadto wydawał się nieśmiertelny, stał się celem dla wszystkich ważniejszych graczy jako ten, który może kryć klucz do opuszczenia Irrehaare.

Bohater Dukaja z jednej strony przypomina klasyczną postać z cyberpunku – początkowo nie ma własnych celów, biernie podąża za nurtem wydarzeń. Dopiero kiedy ma okazję zastanowić się nad własną sytuacją i zdobyć wiedzę o rzeczywistości, w jakiej się znajduje, może stać się kreatorem tego świata.

Tym, co dzieli graczy w *Irrehaare* od hakerów z lat 80., jest przede wszystkim ich rys społeczny. Graczami są zwyczajni ludzie. Mają prace, rodziny, są doskonale funkcjonującymi członkami społeczeństwa i nie myślą o tym, żeby działać poza prawem. W nowej rzeczywistości bohaterem wirtualnej przestrzeni staje się przeciętny człowiek, który tylko czasami, w wolnych godzinach, ma ochotę na trochę rozrywki.

Coraz rzadziej mamy do czynienia z typowymi wyrzutkami. Bohaterowie zaczynają przypominać postaci z klasycznych tekstów science fiction – są zdolnymi naukowcami i uczonymi, jak chociażby Wang Miao, bohater *Problemu trzech ciał* Liu Cixina, inżynierowie i programiści z *Miasta permutacji*

Grega Egana, Richarda Forthrastr z *Reamde* Stephensona czy nawet Paweł Kostrzewa z Dukajowej *Linii oporu*.

Cyberpunk nie wymyślił przestrzeni wirtualnej. Za to stworzył bardzo charakterystyczny sposób jej opisywania. Przede wszystkim cyberprzestrzeń była nieodłącznym atrybutem swoich antybohaterów, którzy bez niej nie byli w stanie funkcjonować. W zwyczajnym świecie nie znaczyli nic. Jednak taki nihilizm powodowany konstrukcją świata nie potrafił dłużej unieść ciężaru kolejnych opowieści.

Ciężko byłoby dzisiaj znaleźć klasycznie cyberpunkowy tekst, nawet jeśli dla wielu twórców dystopijna przyszłość wciąż jest niezwykle atrakcyjna. Ale nawet i to groźne jutro wygląda zupełnie inaczej. Przestało być czarno-białe, a zaczęło mienić się wieloma kolorami. Nie byłoby przygód w technicolorze, gdyby nie wcześniejsze wprawki na monochromatycznych ekranach. Czasy cyberpunku przeminęły wraz z latami 80., ale trudno sobie wyobrazić dzisiejszą kulturę bez tego, co nam dały. Nawet jeśli twórcy z kolejnych dekad odnosili się do nich w zupełnie nieoczekiwany sposób.

■ TOMASZ KOZŁOWSKI

Przewidywacz

Sergii Paltsun

Z rosyjskiego przełożyła Gata Kinga Kowalewska

Siedzę na ścieżce prowadzącej do bramy i czekam. Brama jest głównym wyjściem z podwórza naszego domu na ulicę i dziś mój posterunek wypada właśnie tutaj. Gdzieś po tamtej stronie, na ulicy, narasta napięcie i zmęczenie materiału sięga granicy. Ta wiedza mi ciąży, ale muszę pozostać dokładnie w tym miejscu. Oczywiście z boku wygląda to na zwykłe lenistwo i beztroskie przeciąganie się w symbolicznym cieniu drzewa, ale ja trwam na posterunku. To podwórze powierzono mojej opiece i szef dotąd był ze mnie zadowolony. Zawieść go teraz byłoby po prostu świństwem.

A gdzieś tam wysoko napięcie ciągle narasta. Dobrze, że dziś niedziela i większość moich podopiecznych wyjechała na dache. Ale oto skrzypnęły drzwi wejściowe i ścieżką ku mnie człapie starym krokiem babka Katia. Sądząc po podniszczonej torbie na zakupy, idzie do spożywczego – ale to nic, prowadzi do niego jeszcze inna droga. Wyczekawszy, aż babka podejdzie wystarczająco blisko, aby na pewno mnie zauważyć,

niespiesznie wynurzam się spod drzewa i stąpając dumnym krokiem, przecinam jej drogę. Zauważyła. Spluwając i przeklinając, babcia zawraca i kieruje się na drugi koniec podwórza, ku wyjściu na sąsiednią ulicę. Za to właśnie kocham starsze pokolenie, za te prawidłowe i przewidywalne reakcje.

Wracam na posterunek, kiedy nagle z drzwi wejściowych wybiega babcina wnuczka, Iwetta. Tutaj nie pomoże zwykłe przecięcie drogi, ale mam swoje sposoby i na takie przypadki. Staję pośrodku ścieżki, wbijając prosto w oczy Iwetty dziki wzrok, i zaczynam wydawać przerażające dźwięki. Dziewczynka z wahaniem przystaje, rozglądając się w poszukiwaniu sposobu ominięcia mojej osoby. Wzmacniam groźbę w głosie i Iwetta zawraca, oddalając się w podskokach w ślad za babką.

Przez jakiś czas nic się nie dzieje i nawet zaczynam interesować się natrętnie brzęczącą wokół głowy muchą, kiedy drzwi wejściowe otwierają się ponownie i ukazują się w nich para: Anka i jej wierny adorator.

Imienia nie wspomnę – młodzieniec nie pała ku mnie przesadną sympatią. Odpłacam mu tym samym, więc w zasadzie jesteśmy kwita. Nie tykaj mnie, to ja nie tknę ciebie, że tak powiem. Teraz jednak kierują się prosto ku mnie, więc trzeba jakoś nawiązać kontakt. Przecinanie drogi i groźne miauczenie odpadają. Po pierwsze to na nich nie działa, a po drugie młodziak nie przegapi żadnej okazji, żeby mi radośnie przywalić. Jest, zdaje się, tak zazdrosny o swoją donnę Annę, że za rywali uważa nie tylko wszystko, co się rusza, ale też drzewa i tablice reklamowe. Chyba żeby nie dać mu wyraźnego powodu... Na prawach starego znajomego zbliżam się do Anny i usiłuję przyciągnąć jej uwagę. Udało się! Dziewczyna odwraca się ku mnie, ale wtedy wredny młody człowiek wykrzykuje: „Jesteśmy już spóźnieni!” i ciągnie ją naprzód. W stronę bramy. A materiał tam na górze osiągnął już granicę wytrzymałości i z zachodu nadciąga silny poryw wiatru...

Nie mogę dłużej zwlekać. Patrzą na ich oddalające się plecy. Młodziak jest cały w skórze i ćwiekach, ale Anna ma na sobie półprzezroczystą letnią sukienkę, bardzo zwiwną. „Przepraszam, Anno!” Z wrzaskiem skaczę na nią i wczepiam się w tak ponętne dla młodziaka krągłości poniżej talii... Nie wiem, kto wrzasnął głośniejsze, ale lecąc w stronę śmietnika, poczułem, że zdążyłem...

Otwieram oczy, widzę twarz pochylonej nade mną Anki. Gdzieś z tyłu kręci się ewidentnie wstrząśnięty młody człowiek. Wygląda na to, że scen zazdrości na razie nie będzie. „Dymeczku mój, ty żyjesz... – szepcze Ania, roniąc na mnie łzy. – Dziękuję ci, kochany”. Chcę zaprotestować, że jeszcze nie zasłużyłem na własne imię, ale z gardła wydobywa mi się tylko niezrozumiałe

mruczenie. Anna niesie mnie do domu. Koło wejścia nadzwyczajne zgromadzenie starszerek omawia główne wydarzenie dnia. Coś takiego, balkon się zawałił... Dosłownie nad bramą... Pewnie nastawiali na nim ciężkich gratów... Dobrze, że nikogo nie zabiło. „Dobrze – myślę. – Dobrze mieć na podwórzu porządnego przewidywacza. Szef będzie ze mnie dumny”.

■ SERGII PALTSUN MIESZKA W PRZEPIĘKNYM KIJOWIE I PRACUJE NA POLITECHNICIE KIJOWSKIEJ NA WYDZIALE FIZYKI. W LATACH STUDENCKICH PRZECZYTAŁ WSZYSTKIE UTWORY STRUGACKICH, JAKIE TYLKO UDAŁO MU SIĘ ZDOBYĆ, A NAWET PRZEPISYWAŁ NIEKTÓRE Z ZAKAZANYCH POWIEŚCI NA MASZYNIE DO PISANIA. DO TEJ PORY OPUBLIKOWAŁ PONAD PIĘDZIESIĄT OPOWIADAŃ, NIE LICZĄC RECENZJI, RAPORTÓW I FELIETONÓW. JEST TAKŻE AKTYWNYM CZŁONKIEM FANDOMU I JEDNYM Z ORGANIZATORÓW OGÓLNOUKRAIŃSKIEGO STOWARZYSZENIA MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI, A TAKŻE PRZESEMEM KLUBU „PORTAL”.



Z prochu powstaniesz, Ziemió

Ewa Marchwińska

Sądę, że to nie był pierwszy koniec świata. Wszystko wskazuje na to, że Ziemia jest jak kot albo feniks – potrafi umierać i wracać do życia wraz z tym wszystkim, co ją zamieszkuje. Więc i ludzkość – jeśli tak umownie nazwiemy gatunek dominujący w kolejnych wcieleniach globu – ginęła i odradzała się wielokrotnie. Za każdym razem, jak przypuszczam, w nieco zmienionej formie, zawsze jednak zdolna do tego, by sprowadzić zagładę na swoją żywicielkę.

Tak czy inaczej, Ziemia umarła, a ja byłam jedną z tych, którzy, niczym czerwie, pełzali po jej gnijącym truchle.

Przez pół roku mieszkaliśmy w bunkrze, nie wyściubiając nosów na powierzchnię. Było nas kilkadziesiąt – znajome twarze, sąsiedzi z nieciekawej dzielnicy na przedmieściach. Ci, którzy zdążyli dobiec, kiedy wszystko się zaczęło. Z większością nie

łączyła mnie zażyłość bliższa niż codzienne, rzucane od niechcenia „dzień dobry”. W ostatnich latach nauka i medycyna mocno wyprzedziły ludzką mentalność i z takimi jak ja mało kto chciał się spoufalać.

Nie było więc nikogo, komu mogłabym powiedzieć, jak dusi mnie rozpacz. Przez pierwsze godziny wpatrywałam się w zdjęcie Gabi na wyświetlaczu telefonu, chciwie chłonąc widok różowych policzków i drobnego noska. Desperacko usiłowałam połączyć się z jej ojcem, u którego spędzała tamten weekend – dwieście kilometrów na północ kraju. Oczywiście sieci komórkowe nie działały, a resztki mojej nadziei na kontakt zgasły wraz z wyczerpaniem się baterii.

Po sześciu miesiącach ktoś odważył się otworzyć właz. Powód tej szalonej decyzji był przykry, przerażający i cuchnący,

a przeważały raczej to ostatnie. Otóż, gdy pierwszy z Jeźdźców Apokalipsy skończył robotę na górze, pozostali trzej zaczęli ryc umarłą ziemię niczym dziki, w poszukiwaniu takich tłustych kąsków jak nasza betonowa nora. Głód znaczył swą obecność w sposób nieustępliwy, acz mało spektakularny. Chudliśmy, bledliśmy, gubiliśmy zęby, ale mieliśmy grupę naprawdę ogarniętych ludzi, którzy racjonowali konserwy tak, by żarcia starczyło na rok, jak zakładał system. Nawet z górką, bo było nas znacznie mniej, niż przewidziano. Za to Zaraza przyszła nie wiadomo skąd, rozpanoszyła się w try migą i zaprosiła Śmierć. Razem porwały do tańca kilkanaścioro nieszczęśliwych, no i zaczęły się kłopoty. Smród i panika.

Psiamać, gdyby tamten typ nie otworzył włazu, pewnie sama bym to zrobiła.

Zgłosiłam się na ochotnika do ekspedycji pochówkowej. W skafandrach, w maskach, ciągnęliśmy trupy przez ruiny naszego osiedla. Czułam się jak na obcej planecie. Jak w obcej skórze. Jakbym sama stała się kupką guzu i popiołu. To był moment, impuls, krótka chwila, w której rzeczywistość wydała się nie do zniesienia. Kiedy ściągnęłam maskę, zauważyłam, że dwóch mężczyzn również to zrobiło. Ich twarze wykrzywiały rozpacz. Byłam pewna, że i na mojej maluje się równie silne pragnienie śmierci. Pozostali przyglądali się nam, niepewni, czy powinni reagować, ostatecznie jednak postanowili uszanować naszą wolę. Tamci dwaj potrzebowali niespełna kilkunastu minut, by dołączyć do wleczonych zwłok. Ja nadal czułam się wyśmienicie, gdy ekspedycja wracała do schronu.

Widzicie, kiedyś chorowałam na kurestwo, które w zastraszającym tempie zżerało mi mięśnie i uśmiercało nerwy. Wówczas wielu ludzi nie akceptowało nowoczesnej medycyny, superskutecznych,

acz wątpliwych etycznie metod, które z grubsza opierały się na robeniu z ludzi półcyborgów o zmutowanym DNA, pozwalającym zatrzymać postęp chorób, uważanych wcześniej za nieuleczalne. To, co zdążył już trafić szlag, protezowano i w ten sposób w prawej połowie ciała zamiast większości nerwów miałam kabelki, a mięśnie zastępowało coś na kształt gąbki. Działo świetnie, choć lista możliwych efektów ubocznych zdawała się nie mieć końca. W każdym razie kurestwo przestało być kłopotem – funkcjonowałam nieźle i jedynie, z czym musiałam się pogodzić, to bycie poruszającym się niezbornie dziwadłem, odmieniec z prześwitującymi spod skóry drucikami, z którym czterech na pięciu sąsiadów nie chce gadać. Żaden problem, dopóki cały świat nie skurczył się do bunkra wypełnionego rzeczonymi. Ot, ironia.

Nie mam pojęcia, jak całe to ustrojstwo wpływało na układ oddechowy czy odporność na unoszący się w powietrzu martwego świata syf. Kabelkom i gąbkom pewnie nic do tego, cały pic musiał polegać na zmienionym kodzie genetycznym.

Podjęcie decyzji o opuszczeniu bunkra zajęło mi – w przybliżeniu, bo liczenie czasu było kłopotliwe – kilka dni. Potrzebowałam zapasów żywności, a więc musiałam je wynegocjować. Czyli zdradzić swoje zamiary. Miałam pewność, że sąsiedzi nie dadzą mi błogosławieństwa na drogę. Od kiedy okazało się, że mogę swobodnie przebywać na zewnątrz, ich stosunek do mnie zmienił się diametralnie. Byłam im zwyczajnie potrzebna i nie ulegało wątpliwości, że nie zrezygnują z takiego zasobu z racji sentymentów. W trudnych czasach nawet mamuśkom i przedszkolankom kamienieją serca, wierzcie mi.

Postanowiłam więc to wykorzystać. Plan, który im przedstawiłam, zakładał próbę nawiązania kontaktu z innymi

ocalałymi, co w pewien sposób pozwalało mi zachować czyste sumienie – w tym zakresie mówiłam prawdę.

Kiedy człowiek po miesiącach opuszcza podziemną kłitkę, kiedy oddala się od znajomych ruin, gdzieś głęboko w sercu skrywa nadzieję, że wreszcie wyjdzie ze strefy śmierci i odnajdzie utracony świat. A później z każdym przebytym kilometrem, z każdym mijanym zakrętem roślinie rozczarowanie, choć przecież od początku było wiadomo, że to, co się wydarzyło, ma skalę globalną. Tylko że tego nie da się ogarnąć, zrozumieć, zaakceptować.

A potem? Potem przychodzi obojętność.

Wspomnienie córeczki pchało mnie naprzód, choć szybko straciłam wiarę, że zdołam ją odnaleźć. Bez mapy, bez słońca i gwiazd, skrytych za ciężkimi, syfiastymi kłębam, mogłam tylko iść przed siebie i śmiać się z własnej głupoty. Błądząc wśród lepkich obłoków, zdałam sobie sprawę, że ten pomysł od początku był skazany na klęskę. Jednak nawet gdybym chciała, nie miałam pojęcia, jak wrócić.

Ludzi widywałam coraz częściej i szybko nauczyłam się, że lepiej trzymać się od nich z daleka. Zwykle poruszali się w grupach, zakuci w maski i skafandry. Przypominali watahy dzikich zwierząt, walczące o zasobne w konserwy terytoria.

Parę razy, widziałam z daleka takich jak ja. Wyleczonych, mutantów, odmieńców. Ci zazwyczaj chodzili samotnie. Początkowo zdarzało mi się ich zaczepiać, pytać, raz nawet polazłam za jednym do bunkra, ale szybko stamtąd uciekłam. Nie bardzo wiedziałam, czy wciąż wierzę w cel mojej wędrówki, ale coś kazało mi iść dalej – więc szłam.

Po kilkunastu dniach drogi wyczerpały mi się zapasy jedzenia. Błąkałam się po jakimś

pastkowiu, z dala od miejskich ruin, bez szans na znalezienie czegokolwiek do żarcia. Przebywałam coraz krótsze odcinki drogi, czując, jak opuszczają mnie siły. Gdy za któryms razem wszechobecna szarość zgęstniała, zwiastując nadejście nocy, usiadłam pod rachityczną jabłonką, równie martwą, co otoczenie. Walcząc ze skurczami pustego żołądka, zwinęłam się w kłębek i po jakimś czasie zapadłam w płytki sen.

Obudziłam się w strugach lepkiego, oleistego deszczu. Ponad moją głowę coś szeleściło, znajomo i kojąco. Rozpoznałam w tym dźwięku szum kropel pośród liści, a kiedy podniosłam głowę, pomyślałam, że wciąż śnię. Pośród uschniętych gałęzi drzewa dostrzegłam jedną całkowicie zdrową, ciężką od liści i dojrzałych owoców.

Gdy ruszyłam w dalszą drogę, wciąż nie miałam pewności, czy mój posiłek nie był sennym majakiem, lecz żołądek przestał mi dokuczać, a część dawnych sił powróciła. Wystarczyło mi ich na to, by spłądować jakiś wiejski sklepik, do którego najwidoczniej przede mną nie dotarł nikt z ocalałych. Nappełniłam plecak puszkami owoców, pomidorów, sardynek, karmą dla psów i napojami. A gdy to wszystko przejadłam i głód powrócił, historia powtórzyła się.

Od tamtej pory za każdym razem, gdy się budziłam, znajdowałam w pobliżu jakąś jadalną roślinę – małeńki cud życia pośród wszechogarniającej śmierci. Nie potrafiłam tego w żaden sposób wytłumaczyć, cieszyło mnie jednak, że ziemia najwyraźniej nie umarła całkowicie i z jakiegoś powodu nie dawała zginąć i mnie.

Wkrótce po tamtych wydarzeniach moja wędrówka dobiegła kresu. Znalazłam się w spalonym lesie, przypominającym ponurą kolumnadę. Od tygodni nie widziałam żywej duszy, a towarzyszące mi odrętwienie

przyczyniło się do tego, że odpuściłam sobie ostrożność. Mężczyzna, który wyłonił się spomiędzy roślinnych trupów całkowicie mnie zaskoczył. Jakis gadzi instynkt odezwał się w moim zdziżalałym ciele i pod wpływem strachu rzuciłam się na przybysza. Mężczyzna – wyjątkowo postawny, choć wychudzony – uchylił się, złapał mnie oburącz w pasie i bez większego wysiłku powalił na ziemię.

Ocknąwszy się, przez chwilę myślałam, że cała ta wyprawa była snem. Leżałam na niewygodnej pryczy, nad sobą miałam wilgotny, betonowy sufit, wokół panował dobrze mi znany półmrok i przez chwilę wierzyłam, że gdy się rozejrzę, zobaczę znajome, niezbyt życzliwe gęby moich współplemieńców – sąsiadów. Zamiast nich ujrzałam człowieczka o przeredzonych włosach i oczach zapadniętych głęboko w posiniałych dolinach oczodołów. Uśmiechał się, zagadkowo i odpychająco. Wzdrygnęłam się skołowana. Nim zdążyłam wydobyć głos, za plecami brzydkiego chudzielca pojawił się olbrzym, który wystraszył mnie i obezwładnił w lesie.

– Kurwa – rzekłam z typową dla siebie ogładą, stwierdziwszy, że jednak nie śniłam i całe to popapraństwo faktycznie mi się przydarzyło.

Człowieczek zarechotał, odchylając głowę na nieludzko długiej szyi. Ogromny mężczyzna skrzyżował ręce na piersi, świdrując mnie spojrzeniem.

– Goliat wziął cię za Świruskę, kobieto – powiedział chudy, gdy przestał się śmiać. – Miałaś szczęście, że byłem w pobliżu. Umiem rozpoznać, gdy ktoś jest w drodze od miesiący.

Nie rozumiałam, o czym mówił, patrzyłam więc na niego w milczeniu, zastanawiając się, o co powinnam zapytać najpierw. Tymczasem chudzielec przeciągnął

spojrzeniem po moim ramieniu i prześwi-
tujących spod skóry drucikach.

– Trafiłaś na swoich.

– Świetnie – bąknęłam. – A „swoich” to znaczy...?

Człowieczek znów wzruszył ramionami.

– Ludzi. Nie-Świrusów. Leczonych.

Przyjrzałam im się. Co prawda w lichym świetle lampek gówno widać, ale to, że chudzielec nie był ani do końca normalny, ani zdrowy, dawało się dostrzec nawet w półmroku. Uwagę zwracały zwłaszcza jego brzydka gęba i nienaturalnie wypukłe czoło, a także szybkie, mechaniczne ruchy oczu. Goliata, jak go nazywał mizerny kompan, lustrowałam dłuższą chwilę. Zauważyłam, że był nieco przygarbiony, jakby delikatnie zgięty w pół i domyśliłam się, że swój robotyczny sekret skrywa gdzieś w jamie brzusznej. To mi wystarczyło, nie miałam ochoty dociekać, na co chorowali moi nowi znajomi.

– A kim są Świrusy?

Zamiast odpowiedzieć, człowieczek pacnął dłońmi o kościste kolana, wstał i skinieniem głowy wskazał wylot korytarza.

– Świstak i Mała przygotowują zarcie. Chodź.

Podniosłam się z zaskakującą łatwością i ruszyłam za nim. Goliat przepuścił mnie w drzwiach, co zapewne wynikało raczej z nieufności niż z dżentelmeńskich manier.

Po kilkunastu krokach znaleźliśmy się w sali jadalnej. Mogłam już stwierdzić, że schron wyglądał niemal identycznie, jak ten, z którego wyruszyłam. Nic dziwnego, budowali je od sztancy, gdy tylko ryzyko stało się wystarczająco wysokie. Jednak w tutejszej stołówce większość ław zsunięto pod ścianę. Tylko jeden stół przy drzwiczkach prowadzących do magazynu wyglądał na używany. Siedział przy nim rudowłosy brodac,

łypiący nieprzyjaźnie, i drobne stworzonko, prawie całkiem skryte pod ciemną, zmierzwioną czupryną. Na blacie stało pięć menażek wypełnionych parującą fasolą oraz metalowy dzbanek z herbatą.

– Jest was tylko czworo? – zdziwiłam się.

Nie dostałam odpowiedzi, za to poczułam na ramieniu ciężką łapę Goliata.

– Usiądź – rozkazał cicho. Posłusznie klapnęłam na ławkę. – Przedstaw się. Potem możesz zjeść.

Widok i zapach posiłku okazały się tak nęcące, że trudno było mi powstrzymać się przed rzuceniem na swoją porcję, ale olbrzym miał rację. Skoro sprawy zaszły aż do wspólnego stołu, wypadają, byśmy się poznali.

– Jestem Maria.

Chudzielec przyjrzał mi się, przekrzywając głowę jak zaintrygowany kundel. Teraz, w lepszym świetle, mogłam dostrzec, że wypukłe czoło przecina w poprzek spora, głęboka blizna.

– Chcesz powiedzieć, że to twoje marwite imię.

– Martwe?

– Z poprzedniego życia. Z tamtego świata. Z przed.

– Uhm. No tak.

– A teraz kim jesteś?

Patrzyłam na niego dłuższą chwilę, nie rozumiejąc.

– Chodzi o to, że macie te ksywy, tak? Goliat i... tak dalej. – Rzuciłam pospieszne spojrzenie na brodacza i rozczochraną dziewczynkę, próbując przypomnieć sobie, jak nazwał ich chudy.

Dziecko zachichotało uroczo, po czym rozkaszało się paskudnie.

Chudzielec rąbnął w blat dłonią i spiorunował mnie spojrzeniem. Wyglądał groteskowo, ale przez chwilę poczułam ukłucie zdradliwego strachu.

– Nie żartuj sobie z imion, kobieto!

– ryknął.

– Daj spokój, Proroku – odezwał się rudzielec. Mówił niemal bezdzwięcznie, świszcząc. Spod rzadkiej brody dawało się dostrzec jakieś ustrojstwo. Obstawiałam sztuczny układ oddechowy.

– Mam na imię Maria – powtórzyłam. – Będę wdzięczna, jeśli przypomnie mi wasze.

– Prorok gada po swojemu, jak to prorok – wyjaśnił brodacz. – Jestem Świstak, to jest Mała, a Goliata, zdaje się, znasz.

Spojrzałam na siedzącego obok olbrzymiego mężczyznę, który przyglądał mi się czujnie spod zmrużonych powiek. Pochwycający mój wzrok, skinął głową w kierunku miski. Nie tracąc czasu na podziękowania, zabrałam się do jedzenia. Pozostali również, w milczeniu, zajęli się swoimi porcjami.

Skończywszy, przetarłam usta i brodę przedramieniem. Błogość, którą wywołał pierwszy od dawna ciepły posiłek, skłoniła mnie do próby spoufalenia się.

– A więc, o co tu chodzi? Bunkier w lesie, z dala od cywilizacji. Czworo mieszkańców, wyposażenie, wnioskuje z wielkości nory, pewnie dla ponad setki...?

Jak na komendę przestali jeść, podnieśli głowy. Mała przelknęła pospiesznie. Prorok z napięciem wpatrywał się w Goliata. Ten prawie niezauważalnie pokręcił głową.

– Dowiesz się, kiedy ci zaufamy. Póki co, to ty będziesz odpowiadała na pytania. – Spojrzał na mnie i zmrużył oczy. – Smakowało ci?

Pokiwałam gorliwie głową. Przez chwilę miałam chęć przejąć się i wkurzyć rolę, w którą chcieli mnie wcisnąć – jakiejś więźniarki, zakładniczki, intruza czy cholera wie kogo, ale ten zamiar szybko zbladł, wyparty przez niepokojącą myśl, że oto przestałam czuć ten dziwny zew, który wcześniej kazał mi iść. Zupełnie tak, jakbym znalazła się u celu. I całkowicie nieoczekiwanie, zapragnęłam zwyczajnie odpocząć, choć przez

ostatnie długie miesiące takie luksusy w ogóle nie zaprzętały mi głowy.

– Skąd idziesz? – Olbrzym wyrwał mnie z krótkiego zamyślenia.

Wymieniłam nazwę mojego miasteczka, odkrywając, że z trudem sobie ją przypominam.

– Czemu ruszyłaś w drogę?

Zacisnęłam usta i odwróciłam głowę. Łzy zaszczyły mi pod powiekami, ale nie zaszły im popłynąć.

– Nieważne – powiedział Świstak po ciągnącej się w nieskończoność chwili, przerywając niezręczną ciszę.

Goliat chrząknął cicho, a gdy kontynuował przesłuchanie, jego głos zabrzmiał nieco mniej szorstko.

– Skąd wiedziałaś, którądy iść? Skąd wiedziałaś, że masz iść dalej?

– Nie wiem. Po prostu wiedziałam.

Zauważyłam, że mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Mała ześliznęła się z ławki i podeszła do mnie. Usiadła obok i bez słowa przytuliła się. Wyczułam toporny mechanizm ukryty w jej klatce piersiowej i rytmiczne ruchy zastępującej serce pompki.

Łzy przypuściły kolejny szturm, który odparłam z nadludzkim wysiłkiem.

W kolejnych dniach mieszkańcy bunkra nie poświęcali mi za dużo uwagi. Przez większość czasu trwałam w odrętwieniu, siedząc na pryczy i wpatrując się przed siebie. Tubylcy zajmowali się gospodarzeniem, sortowaniem jakichś śmieci przywleczonych z góry i snuciem się z kąta w kąt. Wiedziałam, że mnie obserwują i czułam, że zachowują się nienaturalnie – cały czas nieufni, choć starający się sprawiać wrażenie co najmniej obojętnych.

Lody zostały przełamane za sprawą Małej, która pewnego razu usiadła obok mnie na pryczy i podała mi brudną, plastikową

lalkę z urwanymi rączkami.

– Goliat ją znalazł – powiedziała, uśmiechając się. Zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy usłyszałam, jak dzieciak mówi.

– Brawa dla niego.

Przyjrzałam się dziewczynce. W gęstych, splecionych strąkach kryła się drobna, pościągła buźka. Oczy, których barwy nie byłam w stanie określić, lśniły jak w gorącej. Mała wyglądała na jakieś osiem lat, ale podejrzewałam, że mogła mieć ciut więcej. Nie potrafiłam odgadnąć, co znaczyła dla niej ta lalka.

– Masz więcej zabawek? – zapytałam. Mała pokręciła głową, wbijając wzrok w podłogę.

– Pewnie tęsknisz za innymi dziećmi, co? Krótkie skinienie głową.

Tknięta nagłym przeczcuciem ześliznęłam się z pryczy i kucnęłam przy nogach dziewczynki, zmuszając ją, by spojrzała mi w oczy. Zerknęłam pospiesznie na wejście do pomieszczenia.

– Powiedz, kochanie, czy oni cię krzywdzą?

Dziewczynka przyglądała mi się, marszcząc brwi.

– Nie wiesz, o czym mówię, prawda?

Pokręciła głową.

– Jestem tu bezpieczna – odparła. – I ty też jesteś.

Potem wstała i ruszyła do drzwi.

Bezręka lalka wtulała się w spleśniały pled i patrzyła na mnie zdziwionymi oczyma.

Ta krótka rozmowa z Małą wyrwała mnie z marazmu, przywołała emocje i trzeźwość myślenia. Czujne milczenie mężczyzn zaczynało być irytujące, a znikoma ilość wiedzy na ich temat stawała się nie do zniesienia. Podczas posiłku postanowiłam przejąć inicjatywę.

– A więc? – zagaiłam, sadowiąc się na ławce. – Czy już sobie zasłużyłam na

zaufanie? Powiecie mi, co tu jest grane? Dlaczego trzech chłopca mieszka samotnie w schronie dla setki osób z małą dziewczynką? Kim są Świrusy, o których szepczecie, myśląc, że nie słyszycie? Gdzie się podzieli inni? I gdzie, w ogóle, jesteśmy?

Goliat podniósł rękę, zatrzymując pokot pytań.

– Hola, kobieto. Nie wszystko naraz.

– Zatem po kolei, jeśli łaska – odparłam, mierząc się z nim wzrokiem. Czy miał koloru stali, a spojrzenie odpowiednio zimne.

– O moje zaufanie jeszcze powalczysz – wycedził. – Ale Świstak i Prorok zaakceptowali cię. I Mała.

Skinęłam im lekko głową.

– Jesteś tu od dziesięciu dni – odezwał się Prorok i przerwał, by siorbnać zupę. – Gdybyś trafiła tu przez przypadek, gdybyś miała inny cel, inne przeznaczenie, już by cię tu nie było.

Wzruszyłam ramionami, choć jego słowa poruszyły w moim sercu strunę, której na chwilę pozwoliłam zamilknąć.

– Karmicie mnie, nie torturujecie i nie gwałcicie. Zapasy macie ogromne. Każdy by tu siedział, ile wlezie.

– Nie, jeśli miałby ważny powód, by ruszyć dalej.

– Ja...

– I wierzyliby, że to ma sens.

Spuściłam wzrok. Zapadła krępująca cisza, jak zwykle. Tak oto szlag trafił moją butę i moje dociekania.

Kiedy podnosiłam się, skończywszy posiłek, Prorok chwycił mnie za nadgarstek.

– Przejdziemy się?

Zaskoczona propozycją i stęskniona za świeżym toksycznym powietrzem, skinęłam głową.

Gdy wyczołgaliśmy się przez właz, spojrzałam na mojego towarzysza i otworzyłam usta, by coś powiedzieć. Prorok zareagował

momentalnie, uciszając mnie jedną ręką i ciągnąc drugą za jakieś lyse truchło krzewu, gdzie wyrwałam mu się z łatwością.

– Nie wrzeszcz – szepnął stanowczo. – Najpierw rozejrzemy się, czy jest czysto. Pójdziemy na przechadzkę, kiedy upewnimy się, że gadzina nie przypęzła.

– Co ty pieprzysz?

– Świrusy – odparł, zapominając, jak niewiele mi to mówi.

Siedzieliśmy pośród kolczastych gałęzi, nasłuchując przez dłuższą chwilę. Wreszcie Prorok wstał, przeszedł kawałek, zatrzymując się raz po raz, jakby węszył.

– Czysto, chodź.

Ruszyliśmy w dół zbocza, pod którym mieścił się schron. Nie poznawałam tej okolicy, Goliat musiał przenieść mnie przez spory kawałek po tym, jak pozbawił mnie przytomności. Nadal jednak byliśmy w środku lasu.

– Miało tutaj powstać osiedle letnich rezydencji dla snobów – odezwał się mój towarzysz. – Zaczęli od bunkra, na nasze szczęście. Docelowo miał służyć przyszłym mieszkańcom, a tymczasem – kuracjom. Była tu nieopodal mała, uzdrowskowa miejscinka. Dość blisko, by schron dawał pozory bezpieczeństwa, jednak zbyt daleko, by większość połamaneć i astmatyków dobiegła na czas.

– Byłeś jednym z nich? – zapytałam, domyślając się odpowiedzi.

Skinął głową.

– Dotarło nas tu nieco ponad czterdzieści osób.

– Została czwórka. Co z resztą?

– Zostałem tylko ja – uściślił. – Reszta przybyła później, tak jak ty.

Martwe drzewa rosły coraz rzadziej, w miarę jak posuwaliśmy się w dół. Nasze stopy zapadały się w spopielonej ściółce. Czułam chłód, niesiony przez wilgotne powiewy wiatru.

– Chryste. Co się stało z tymi, którzy byli z tobą wcześniej? – Niepokój i adrenalina coraz intensywniej sączyły się do mojej krwi.

– Schron ich wyrzygał – odparł spokojnie Prorok, udając, że nie dostrzega moich zaciśniętych pięści. – Wypluł. Jak wolisz.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że tylko wybrani wytrzymują w nim dłużej niż kilka dni. To nie jest zwykły bunkier. To azyl dla tych, którzy mają być świadkami... Objawienia. Ponownego Przyjścia. Nowego Początku. Jak wolisz.

– Szlag, jesteś jakimś popapranym fanatykiem? Z tych, co bazgrali po murach, że koniec jest blisko, zanim to się zaczęło?

Roześmiał się, tak samo plugawie jak wtedy, gdy rozmawiałam z nim po raz pierwszy.

– W dupie to miałem, zanim się zaczęło – powiedział z obłąkańczą wesołością. – Potem zresztą też, wszystko mi było jedno, byle przeżyć. Siedziałem pod ziemią, początkowo niewiele robiąc sobie z szaleńców, którym z jakichś powodów spieszyło się na zewnątrz. A tych szaleńców przybywało z dnia na dzień. Rzucali się na właz, toczyli pianę z ust. Niektórzy byli jeszcze na tyle przytomni, by zabrać maski i skafandry, inni nie. Właściwie to czułem ulgę, gdy znikali. Podejrzywałem, że chorowali, że dopadł ich jakiś wirus ryjący banię. Jakiś zaraźliwy syf. Srałem ze strachu, że mnie też to czeka. Aż w końcu ostatni z nich wyrwał się na zewnątrz, a ja zostałem. Zdrowy, normalny na tyle, na ile się dało po czymś takim. Sam.

– Byłeś... leczony, prawda? – Przyglądałam mu się uważnie. – To nas wszystkich łączy. Może to z tego powodu nie dopadła cię ta zbiorowa psychoza?

– Nie. Byliśmy wycieczką z sanatorium, nie zapominaj. Oprócz mnie jeszcze dwie

kobiety i młody chłopak dochodzili do siebie po terapii. Królowe i Generał. Dowodzą Świrusami, bo ich umysły rzeczywiście ucierpiały najmniej. No i nie przeszkadza im toksyczna bryza. Bo wiesz, kiedyś też myślałem, że to wszystko to tylko choroba. Teraz rozumiem, że to zdecydowanie coś więcej. Nasz bunkier ich wyrzygał, a świat w którym żyjemy, zmienił ich bardziej, niż umiałbym sobie wyobrazić.

Byłam przekonana, że Prorok opowiada mi o swoich urojeniach, ale dałam się wciągnąć w tę bajkę. Ostatecznie, jeśli jego mała wspólnota bazowała na podziale ludzi na Świrusów i Wybrańców, to wolałam, by zaliczili mnie do tych drugich. Zresztą, granica między obłędem a normalnością zatarała się już jakiś czas temu.

– Okej, łapię. Skoro bunkier nas nie wypluł, znaczy, że jesteśmy wybrani. Ale do czego? I dlaczego my?

– Chuj wie, dlaczego my. – Prorok był śmiertelnie poważny i zdawał się nie dostrzegać mojego cynizmu. – Jedyne, czego jestem pewien, to to, że nie jesteśmy w komplecie. Wkrótce przybędą następni. Nie setka ludzi, ale kilka czy kilkanaście osób. Dobijemy do jakiejś świętej liczby, według jakiejś religii, która okaże się właściwą. Zobaczymy powracającego boga albo bogów i dowiemy się, kto miał rację przez te tysiące lat. Kto tak naprawdę wygrał te zakichane wojny. Albo poszczamy się ze śmiechu, widząc, że nikt, bo ci wszyscy ludzie, obłąkańczo pewni słuszności swej wiary i zabijający w jej imię, nie byli nigdy w stanie pojąć boskiej natury.

– Skąd to wiesz?

– Ze snu, który miałem, gdy siedziałem sam w bunkrze. Był w nim głos i niewiele więcej, ale gdy się obudziłem, wszystko zrozumiałem. Wtedy też wyszedłem na zewnątrz, ale już się nie bałem, że oszalałem

jak tamci. Wyszedłem i czekałem.

Prorok najwyraźniej uznał, że tyle informacji mi wystarczy i przez dłuższy czas szliśmy w milczeniu. Miałam wrażenie, że co kilkadziesiąt kroków mężczyzna unosi nieznacznie głowę i węszy lub nastawia uszu, wyginając groteskowo szyję. Robiło się zimno.

Obeszliśmy wzgórze szerokim łukiem i wspinaliśmy się na nie od drugiej strony. Wejście do schronu znajdowało się nieco poniżej płaskiego wierzchołka, otoczonego pozostałościami niskich drzewek i krzewów, dlatego wcześniej nie widziałam, co się za nimi znajduje. Prorok wyprzedził mnie nieco i skierował się w miejsce, gdzie między krzakami widniała wąska szczelina.

– A teraz zobaczysz, że zaiste jesteście w miejscu świętym. W jakiś tam sposób – odezwał się i dał nura między gałęzie. Podążyłam za nim i znalazłam się na niewielkiej polanie. Na jej środku stał całkiem spory głaz, w otaczającej nas szarości wyglądający na czarniejszy od nocy. Wokół niego mniejsze kamienie tworzyły koncentryczne kręgi. Nie miałam wątpliwości, że było to miejsce jakiegoś dawnego kultu. – Sama widzisz. – Prorok skinął głową, jakby odczytał moje myśli. – Była to nawet atrakcja turystyczna, ale z jakichś powodów nie przyciągała zbyt dużo ludzi. Podobno naukowcy też szybko stracili zainteresowanie. Pogrzebali trochę w okolicznej ziemi i tyle. To było ze czterdzieści lat temu. Jak powstały plany osiedla i schronu, nikt się o to miejsce nie upomniał.

– Dużo na ten temat wiesz.

– W sanatorium jakoś trzeba zabić czas.

– Wzruszył ramionami. – Pora wracać do domu.

Gdy wleźliśmy do bunkra, panowała tam iście domowa atmosfera: Goliat przygwaźdżał do ściany Świstaka, napierając

przedramieniem na jego szyję. Mała kuliła się w kącie i chlipała.

Podbiegłam do dziewczynki i objęłam ją, podczas gdy Prorok dopadł do siłujących się mężczyzn.

– Poszaleliście, na bogów?! – wrzasnęła, nie znajdując innego sposobu, by rozdzielić tamtych. – Zaduszisz go!

W tym momencie Świstakowi udało się kopnąć olbrzyma w brzuch albo krocze, ten musiał nieco zwolnić chwyt, a Prorok zwinnie wykorzystał sytuację, by wsunąć się pomiędzy nich. Uniesioną ręką zatrzymał zdyszanego Goliata, który, o dziwo, zastępył i zwiesił ramiona, ciskając rozeźlone spojrzenia ponad głową chudzielca.

Stłumione na mojej piersi buczenie Małej pobrzmiwało wśród nieprzyjemnego milczenia. Mężczyźni sapani chrapliwie. Prorok stał między nimi, wciąż wyciągając ręce. Zimny przeciąg hulał po pomieszczeniu. Zerknęłam na właz, upewniając się, czy go zamknęłam, choć pamiętałam, że to zrobiłam.

– Co tu się, do kurwy nędzy, stało? – zapytał Prorok.

Goliat wyszedł bez słowa i przepadł gdzieś w mrocznych korytarzach. Świstak odepchnął drobnego mężczyznę i ze wściekłością kopnął szafkę, w której zalegały nieprzydatne nikomu skafandry. Huknęło, zabręczało. Rudzielec poprawił pięścią, metalowe drzwiczki zawisły żałośnie na jednym zawiasie. Przeciąg wzmógł się na moment, lodowaty podmuch szarpnął naszymi włosami i znikł. Powietrze znów się zatrzymało, przesycone lekkim zapaszkiem stęchlizny, wymiecionym z kątów i zakamarków.

– Skąd ten cholerny przeciąg? – zapytałam.

Mała szepnęła mi coś na ucho, ale brzęk odpadających ze zmaltretowanej szafki drzwiczek zagłuszył jej słowa.

– Chuj wie – odparł Prorok, po raz kolejny powołując się na falliczną mądrość.

– To nie jest zwyczajny bunkier, mówiłem ci.

Świstak przysiadł na niskim stołku, wyciągnął nogi i odetchnął.

– Kurewsko drażliwy jest ostatnio – wyjaśnił enigmatycznie i zamilkł, rozmasowując obolałą dłoń.

Mała, uspokoiwszy się nieco, zapytała mnie, czy nie mam ochoty narysować z nią ZOO. Uznałam, że to znakomity pomysł, by odreagować rewelacje dnia.

– Goliat znalazł dla mnie kolorową kredę. Całe pudełko! – trajkotała, odzyskując rezon. – Ale on nie potrafi rysować, wiesz? Ani trochę.

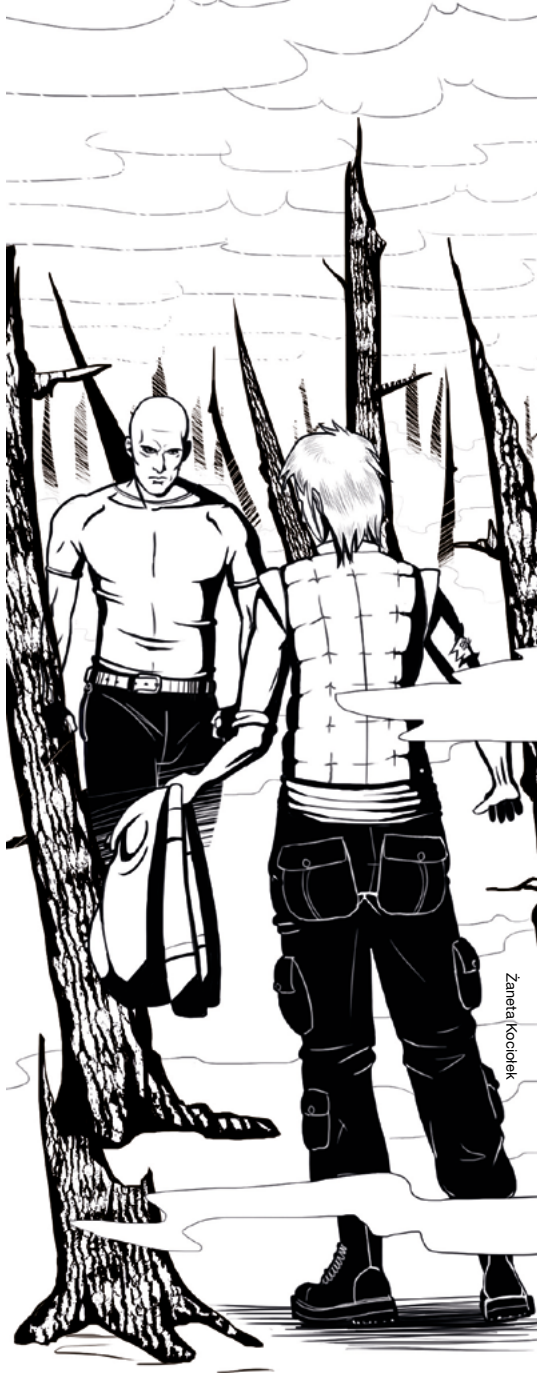
Pozwoliłam, by dziewczynka poprowadziła mnie do jednego z nieużywanych pomieszczeń sypialnych. Pozsuwałyśmy prycze pod ściany, a potem Mała zniknęła na chwilę i wróciła z odrapaną puszką po herbacie. W środku postukiwały kolorowe kawałki kredy. Rozświetliłyśmy pomieszczenie tak bardzo, jak się dało, ściągnęłyśmy na podłogę poduszki i pledy, tworząc wygodne legowiska, i rysowałyśmy zwierzaki na betonowej posadzce. Mała specjalizowała się w kotach, kangurach i świnkach. W niedźwiedziu, którego starałam się narysować, dziewczynka rozpoznała hipopotama. Śmiałam się jak kiedyś.

Zanim pieprzona apokalipsa nie połała mi serca.

– Nie lubisz go, prawda? – zapytała nagle Mała, ozdabiając żółtego kota niebieskimi pręgami. – Goliata? Wiem, że nie był dla ciebie miły. Ale on jest dobry, wiesz?

– Pewnie jest – odparłam, uśmiechając się. – Skoro tak mówisz... Znajduje ci te wszystkie prezenty. Dbą o ciebie. I... przydałyby się nam tu jakieś krokodyle, nie sądzisz?

– Pewnie! – Klasnęła, porzuciła niedokończony kota i wsadziła dłoń do puszeki, próbując wydobyć zielony kawałek



kredy. – Goliat mnie uratował, wiesz? Przed Świrusami. Nienawidzi ich, bo chcieli mnie skrzywdzić. Ile one mają nóg? Te krokodyle?

– Cztery.

Przez dłuższą chwilę rysowała w skupieniu. Potem podniosła główkę, spojrzała na mnie.

– On ci nie ufa, bo boi się, że możesz być jedną z nich. Świstakowi też nie ufa. I same-mu sobie też nie. Tak myślę.

Odłożyłam kredę, czując, że Małej coś leży na sercu.

– Martwisz się czymś? – zapytałam. – Nie masz już ochoty rysować?

Pokręciła główką. Zmierzwiona grzywka wpaadała jej w oczy.

– Jestem śpiąca – wymamrotała i wdrapała się na jedną z zaścielonych pryczy. Wśliznęła się pod pled i zamknęła oczy. Po-czułam, że i mnie dopada senność.

Pogasiłam wszystko z wyjątkiem małej lampki i w nikłym świetle przyglądałam się kolorowym rysunkom, aż sen całkiem mnie zmorzył.

Wizja napłynęła pod moje powieki łagodnie, niemal niespostrzeżenie. Rozbrzmiewający wokół jednostajny głos układał się w subtelny rytm, inkantację lub jakiś rodzaj melorecytacji. Nie rozpoznawałam słów, ale obrazy zdawały się ilustrować ich znaczenie.

Ciemność, rozświetlona ogniem bijącym z serca ziemi. Płytką pieczara, korzenie drzew i drobnych roślin wystające ze ścian i sklepienia, poskręcane i białawe jak robaki, pulsujące w rytm uderzeń serca. Płatanina przypominająca prześwitujące spod mojej skóry druciki. Potem ciemność i wreszcie kraina skąpana w złocistej lawie. Obok mnie obecność, posłuszna, poddana, garnąca się ku mnie, mimo grozy, która ją przenika. Obecność, krystalizująca się wśród iskier, wśród migoczącego od żaru powietrza. Twarze,

sylwetki, martwe oczy. Ręce, które pragną dotyku. Dusze, które pragną odpoczynku.

– Mamo! – To niknący głos mojej córeczki, przeradający się w echo.

Nawołuję ją przez chwilę, a potem tuż przy uchu słyszę szept:

– Ciężko mi, mamusiu... Czy możesz zabrać to, co mnie przygniata?

– Gdzie jesteś, Gabi? – Rozglądam się, lecz wśród eterycznych sylwetek nie mogę dostrzec tej najdroższej.

Przez chwilę słyszę jeszcze jej głos, ale wizja znika, rozplywa się, a ja...

Zerwałam się, wpadając wprost w ramiona Świstaka i grzmocąc go czołem w podbródek. Krzyknęłam, wystraszona i zszokowana – zarówno dziwnym snem, jak i obecnością mężczyzny.

– Cicho, cicho, już dobrze. – Odsunął mnie delikatnie od siebie. – Usłyszałem twoje jęki, zająłem, by sprawdzić, co z tobą. W porządku?

Rozmasowałam obolałe czoło, odgarnęłam i przecesałam palcami włosy. Były posklejane, poplątane i spocone.

– W porządku. Coś mi się przyśniło.

– Koszmar?

– Coś... trudnego do ogarnięcia.

Świstak skinął głową. Pomimo słabego światła w jego oczach dostrzegłam błysk zrozumienia.

– Nie będę przeszkadzała...

– Nie przeszkadzasz. Zostań, proszę. Potrzebuję z kimś porozmawiać.

Mężczyzna zawahał się, po chwili usiadł jednak na sąsiedniej pryczy. Przez jakiś czas w milczeniu słuchaliśmy spokojnego oddechu śpiącej tuż obok Małej.

– Prorok się mylił – oznajmiłam w końcu.

– W sprawie czego?

– Mam powód, by iść dalej. I wierzę, że to ma sens. Jeśli nie, to... to nic już go nie ma.

Świstak pokiwał głową, przyglądając mi

się z napięciem i jakimś rodzajem życzliwości. Potem przeniósł wzrok na niezgrabne rysunki, ale zdawał się wcale ich nie dostrzegać.

– Moja żona skołała mi na rękach – odezwał się w końcu. – Wyniszczenie organizmu. Ona kochała słońce, wiesz. Wystarczał dzień niepogody, by powtarzała, że nie może bez niego żyć. Umarła jako pierwsza, podczas gdy reszta miała się jeszcze całkiem nieźle. Wyszedłem na powierzchnię, bo ja nie potrafiłem żyć bez niej. Była moim słońcem. Mogłem załatwić to inaczej, ale nie chciałem robić pozostałym kłopotu. Gdy ona... odeszła... trudno było uspokoić niektórych. Paniaka wisiła w powietrzu. Mogłem się tym nie przejąć, ale się przejąłem. Wyszedłem. A potem okazało się, że to nie działa. Próbowaliśmy znaleźć inny sposób, ale coś każało mi ruszyć w drogę. Coś, czemu nie potrafiłem się przeciwstawić.

Jego włosy uniosły się lekko, smagnięte tajemniczym przeciągiem.

– Przykro mi – szepnęłam.

Odrzucił głowę tak, żebym nie mogła dostrzec jego twarzy.

– Wiele bym dał za isierkę nadziei. Choćby najmniejszą.

– Ja wiele bym dała za pewność. Nawet gdyby była bolesna... Dlatego muszę iść dalej.

Znów zapadła cisza. Tym razem to ja ją przerwałam.

– Wierzysz w to wszystko? W to, co mówi Prorok?

– Wierzę w to, że świat umarł, a ludzie zmienili się w... w dziwny sposób.

– Wszyscy ludzie?

Wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Zbyt wielu ich nie widziałem. Ci, których zostawiłem w tym schronie byli zmienieni przez strach. Ci, których spotykałem na powierzchni,

w większości nie przypominali już ludzi. Zakutani w skafandry, maski, gołymi rękoma ciskający kamienie i odrzucający gruzy z ruin. Potrafiący wspinać się na ocalałe mury jak kozice albo poruszać się z niewiarogodną prędkością. To nie tylko Świrusy, o których mówi Prorok. Widywałem takie przypadki już wcześniej, choć nie było ich wiele. Ale zwykłych ludzi też spotykałem. Zwykłych i takich jak my.

– Mała wspominała, że Goliat uratował ją przed Świrusami. Że próbowali ją skrzywdzić.

Świątek skinął głową.

– To było, zanim dotarli do nas. Nie wiele wiem o tamtym zajściu. Ale musiało wydarzyć się gdzieś w pobliżu, to były więc „nasze” Świry. Gdy dotarli tutaj rany Małej wciąż były świeże. I paskudne.

– Czego oni właściwie chcą?

– Przeżyć, tak myślę. – Wzruszył ramionami. – Szukają zarcia, wiedzą, że nasz bunkier skrywa spożywcze skarby. Ale boją się wracać z uwagi na traumę i rzadko się tu zapuszczają. Czasami pojawi się jakaś niewielka grupka, obserwuje nas. I na tym koniec, jednak Prorok twierdzi, że to kwestia czasu, nim zdecydują się zaatakować.

– A zatem, jak rozumiem, póki będę blisko, Świrusy raczej mnie nie napadną. A potem? Na co powinnam być gotowa?

– Na wszystko. Ale sądzę, że jeśli weźmiesz wystarczająco jedzenia, by nie musieć szukać go w ruinach miasteczek, nie powinnaś nikogo spotkać. Naturalnie zapasy kiedyś ci się skończą, ale być może będziesz już poza terytorium Świrów. Nie mam za to pojęcia, kogo tam znajdziesz.

– Podczas mojej wędrówki bardzo rzadko widywałam ludzi. Właściwie przez większość czasu miałam wrażenie, że jestem sama na świecie.

– Bo zostało nas cholernie mało. To, czy

kogoś spotkasz, zależy od szczęścia. Albo jego braku.

Mała rozplakała się, gdy oznajmiłam, że odchodzę. Oddałam jej lalkę. Goliat skinął tylko głową, nic nie powiedział. Prorok i Świstak uściśnili mi dłoń. Szorstko, krótko.

Zarzuciłam plecak na ramiona i wygramoliłam się na zewnątrz. Goliat i Świstak wyszli za mną, przygotowując się do obchodu i na zwyczajowe poszukiwania „czegokolwiek przydatnego”.

Świrusy przyczyaiły się w chaszczach na mojej drodze. Jeden z nich zdradził się nieostrożnym ruchem, coś trzasnęło, kiedy wydobrywał broń. Dostrzegłam go, zanim zdążył wycelować, wyrzut adrenaliny pobudził moje zmutowane ciało do skoku i niewiarygodnie szybkiego odwrotu. Krzykiem ostrzegłam Goliata i Świstaka, którzy momentalnie zawrócili w kierunku schronu.

Świrusy wysypywały się z chaszczy. Mieli na szczęście tylko jeden pistolet, zapewne ze skromnym zapasem w magazynku, bo dzierzący go dryblas nie decydował się na strzał aż do momentu, gdy zatrzymaliśmy się stłoczeni przy władzie. Mocującemu się z nim Świstakowi drżały dłonie. Goliat odepchnął go, pierwszy wskoczył do środka. Kolejny wystrzał. Rudzielec pchnął mnie silnie. Wpadając do bunkra, staranowałam blokującego wejście Goliata, którego nieufność wobec nas osiągnęła ekstremum. Świstak wskoczył za mną i zatrzasnął właz przed nosem najszybszego ze Świrusów.

Goliat najpierw trzasnął mnie z rozmachu w policzek, potem rzucił się na Świstaka. Zaalarmowani hałasem, Prorok i Mała wybiegli z korytarza. Chudzielec nie potrzebował polecenia, słysząc chrobotanie przy władzie i stłumione okrzyki z zewnątrz, rzucił się, by zabezpieczyć wejście. Czułam,

jak puchnie mi twarz, a krew z rozciętej wargi splywa ku brodzie i kapie na pierś. Świstak walczył z oszalałym Goliatem. Leżał na ziemi, a olbrzym klęczał obok, unosząc ramię do ciosu.

Nim zdołał go zadać, Świstak poruszył się, targnął głową, a potężny podmuch odrzucił Goliata, rąbnął nim o ścianę, jak szmacianą kukielką. Mężczyzna osunął się, oparł ciężko. Jego lodowate spojrzenie mroziło powietrze.

Mała wystrzały, kule z brzękiem uderzały o oddzielające nas od śmierci żelastwo.

– Dosyć! Dosyć, do kurwy nędzy!!! – Prorok rozdarł się, stając pośrodku pomieszczenia i rozkładając szeroko ręce, jakby mógł nas tak utrzymać w bezpiecznych pozycjach. – Jeśli są w tej bandzie siłace, oni zaraz tu wtargną. Wróg jest na zewnątrz. Na zewnątrz, do wszystkich diabłów!

Goliat podniósł się, doskoczył do chudej części i chwycił go za złachmanione ciuchy. Coś rąbnęło potężnie we właz.

– Taki jesteś pewien? A więc decyzja o odejściu tej dziwki i ich napad to zbieg okoliczności? Dość niefortunny, przynasz. A to, co ten odmieniec zrobił przed chwilą? Jak to wytłumaczysz, popaprańcu? Boskimi mocami?

– Właśnie tak – syknął Prorok. – Pojmij to wreszcie.

Goliat warknął, przyciskając Proroka do ściany, poznaczonej smugami jego własnej krwi.

– Mała, wiej stąd – rzucił. – Do kuchni, zabarykaduj wejście stołami. Biegnij, do jasnej cholery!

Mała nie ruszyła się. Chwyciła moją rękę i pociągnęła nosem.

– Nie chcę – bąknęła, a Goliat z wściekłości trzasnął Proroka w brzydką gębę.

– Dosyć tego – powtórzył chudzielec, wypluwając krew zmieszaną ze śliną

i ułamany ząb. – Pora spojrzeć prawdzie w oczy. Jesteśmy tacy sami, jak oni. Każde z nas ukrywa coś przed pozostałymi, bojąc się zresztą przyznać do tego przed samym sobą. Każde z nas jest odmieniec, szajbuszem i mutantem. Ludzie odeszli, zmietli się nawzajem z tego świata, w imię bogów, których nigdy nie poznali. Ci, którzy zostali, nie są i nie mogą być ludźmi. Pomyliłem się. Kurewsko mocno się pomyliłem. My nie mamy czekać na bogów, bo żadni bogowie nie przyjdą. Jesteśmy tylko my i ci szaleńcy na zewnątrz. – Jakby na potwierdzenie jego słów jeden ze Świrusów znowu rąbnął we właz, niemal wgniatając go do środka. – Świat umarł i pragnie narodzić się na nowo. A o tym, co się teraz dzieje, wkrótce zaśpiwają następcy upadłej ludzkości, tworząc nową mitologię. Bo teraz to my jesteśmy bogami. Pojmijcie to wreszcie.

Zapała cisza, przerywana metodycznymi uderzeniami. Solidne zawiasy nie puszczały i wkrótce napastnik zmienił taktykę, najpewniej starając się wyrwać żelastwo.

Mała puściła mnie i wymknęła się do korytarza.

Prorok złowił spojrzenie Goliata, uśmiechnął się jadowniczo.

– Czego się boisz, olbrzymie? Tych na zewnątrz? Nas? Czy siebie? Co to za sekret nie daje ci spokoju?

Goliat zacisnął pięść, aż z rozciętej skóry popłynęła krew.

– Zamknij się, zasańcu! Zamknij się, słyszysz?!

– To... nic nie da... – wystękał Prorok, chwytając go za dłoń. – Próbujesz zagłuszyć strach, ale nie uda ci się. Nie martw się, nie skrzywdzisz Małej. Żadne z nas jej nie skrzywdzi. To, co może ją zranić, zaraz tu wlezie. Dlatego musimy... – Zachłysnął się krwią zalewającą mu usta. – Żesz kurwa

mać... Musimy pogodzić się z tym, co się z nami stało. Wykorzystać to. Walczyć.

Świstak podszedł do Goliata i stając za jego plecami, położył dłoń na potężnym ramieniu.

– Wyluzuj, stary. Jesteśmy razem w tym szambie. Cokolwiek to jest, co ukrywasz... Podziwiam cię, że nad tym panujesz. Ja nie potrafię. – Silny przeciąg smagnał nas zimnym powietrzem. Trudno powiedzieć, czy Świstak wywołał go mimowolnie, czy jednak nauczył się kontrolować swą moc na tyle, by celowo dodać dramatyzmu wypowiedzianym słowom.

Zanim Goliat zdecydował, jak się zachować, do pomieszczenia wsunęła się Mała. Trzymała na rękach puchatego, przegowanego kociaka.

– Ja pierdolę – skwitował głośno Prorok. Goliat z wrażenia puścił go wreszcie. Świstak wciągnął powietrze, wywołując kolejny gwałtowny szkwał.

– Chryste – szepnęłam. – Mała, skąd... Skąd masz tego kota? – Zapytałam, wiedząc, co usłyszę.

– Narysowałam – powiedziała, uśmiechając się rozbrajająco i całkowicie nieadekwatnie do sytuacji. – To był mój sekret. A wasze? Szybko! – dodała, gdy właz jęknął, zdradzając, że długo już nie wytrzyma napierającej na niego siły.

Oślupiały Goliat powoli wyciągnął dłoń. Palce ułożył tak, jakby trzymał w nich kulę. Na moment zamknął oczy, a na każdej z opuszek zatańczył mały płomyk. Mała kłasnęła, zachwycona.

– Fenomenalnie! – Świstak klepnął Goliata w plecy, braterskim gestem. Zupełnie, jakby tamten chwilę wcześniej nie próbował go skatować na śmierć.

Olbrzym wyciągnął drugą dłoń, pozwalając, by z palców strzeliły małe, świetliste iskry. Trzasnęło.

Prorok spojrział na mnie, pytająco, ponaglająco. Wład jęczał coraz rozpaczliwiej, przepuszczając z zewnątrz podniecone okrzyki.

Pokręciłam głową.

– No, dalej, kobieto! – Chudzielec przyskoczył do mnie, chwycił za ramię. – Co się wyróżnia?

– Nie wiem... A ciebie? – zapytałam głupio, nagle zakłopotana wbitymi we mnie spojrzeniami.

– Ja jestem prorokiem, na wszystkie demony! Mam was przez to przeprowadzić, a wy za chuja mi tego nie ułatwiacie. Gadaj! – Zacisnął kościste paluchy na moim przedramieniu. Syknęłam z bólu.

Wyszarpnęłam się, przesłizgując wzrokiem po odsłoniętej skórze ręki. Widoczna spod niej siateczka drucików przywołała wspomnienie sennej wizji – pulsujących życiem drobnych korzeni. A potem kolejne – wiszącej nad moją głową gałęzi, uginającej się od ciężaru jabłek.

– To szaleństwo – szepnęłam do siebie, nim odezwała się głośno: – Gdy byłam głodna, idąc tutaj, bez trudu znajdowałam pożywienie. Tak, jakby ziemia mnie karmiła, martwe drzewa rodziły owoce...

Oczy Proroka zwięzły się.

– Chcesz powiedzieć...

– Dość gadania. – Goliat przerwał mu. – Mała, spływasz stąd, nie będę powtarzał. Wy – skinął na mnie i Proroka – znajdźcie sobie jakąś broń. Noże, drągi, meble, cokolwiek. No już! Świstak, skup się. Tak jak mnie walnąłeś, tylko mocniej. Dużo mocniej. Uwaga!

Nim zdążyliśmy z Prorokiem rzucić się w korytarze na poszukiwanie czegoś, co mogłoby imitować broń, kłapa ostatecznie puściła, poderwana do góry przez nieludzko silne ramiona.

– Teraz! – wrzasnął Goliat, a Świstak cisnął w kierunku otworu małą trąbę

powietrzną. Nachylające się ku wejściu postaci zniknęły z naszego pola widzenia, odrzucone podmuchem. Goliat dopadł do władu, wychylił się i pozwolił, by z jego dłoni wystrzeliły wyrwywające się na wolność pioruny. Po rozdzierających krzykach poznaliśmy, że dosięgnęły celu.

– Szukajcie broni! – Goliat odwrócił się do nas. Jego zwykle zimne oczy płonęły. – Jest ich kilkunastu, może więcej!

Prorok pognał w głąb schronu, ciągnąc za sobą Małą. Ruszyłam z nimi. Nogi, miękkie i jakby nie moje, zupełnie odmówiły posłuszeństwa. Biegłam, zataczając się, a każdy mój krok zdawał się ciągnąć godzinami. Gdy skręciłam w korytarz prowadzący do sypialni, nagle zawróciło mi się w głowie, zaszumiało w uszach. Świat wirował i nie wiedziałam, w którym z korytarzy zniknęli wszyscy moi towarzysze. Byłam sama w zagrożonym w żółtawym półmroku tunelu. Wirowanie zwolniło, lecz nie ustało. A kiedy odzyskałam jako taką równowagę, wśród szmerów rozległ się głos – ten, który słyszałam we śnie. Brzmiał tak samo monotennie i niezrozumiale, jak wtedy.

W pierwszym odruchu postanowiłam go zignorować, jednak coś na granicy świadomości zwróciło moją uwagę. Gdy tylko rozpoznałam słowa, przed moimi oczami znów pojawiła się znajoma wizja – głęboka dziura w ziemi, korzenie, płynny ogień.

Po chwili obraz zniknął. Znów byłam w korytarzu, jednak już nie sama. U jego końca, w cieniu, majaczyła drobna postać. Znajoma. Wytęskniona. Ukochana.

Wyciągnęłam ku niej ramiona. Zawołałam.

Podeszła do mnie. Błada, nierzeczywista. Na policzkach czułam powstrzymywane od tyłu mięsęczy ły.

– Moja córeczka – szeptałam. – Moja maleńka...

Zatrzymała się dwa kroki przede mną.

Zbyt daleko, bym była w stanie jej dotknąć. Kucnęłam ostrożnie, bojąc się, że gwałtowny ruch zdoła ją spłoszyć. Albo rozwiać zwid, którym mogła się okazać.

– Mamusiu – odezwała się cicho. – Czy możesz zabrać to, co mnie przygniata?

– Co to takiego? Podejdź do mnie, Gabi.

– Oni mówią, że jestem ich panią. Ale ja nie mogę. Jestem jedną z nich, mamusiu. Czy możesz to zabrać?

Zauważyłam, że wyciąga ku mnie rączkę. Spoczywało na niej kilka ciemnopurpurowych ziarenek. Pozwoliłam, by przesypały się na moją dłoń.

I wtedy znów poczułam obecność seitek istnień. Usłyszałam chóralne wołanie i wreszcie dostrzegłam, jak wokół mnie wirują duchy. Przypominały skłębione nitki babiego lata i tylko czasami, na jedno mgnienie oka, zastygały w zarysach sylwetek i twarzy.

– Zjedz je, mamusiu – poprosiła Gabi, wskazując ziarenka. – Wtedy będę mogła fruwać tak jak oni. Chcę tego...

Nim zdążyłam odpowiedzieć, Prorok wypadł z jednego z pomieszczeń, trzasnęły ciężkie drzwi. Zatrzymał się raptownie, widząc mnie klęczącą na podłodze. Nie jestem pewna, co jeszcze był w stanie dostrzec, ale z jego twarzy bez trudu odczytałam, że rozumie z tej sytuacji więcej niż ja.

– Co mam zrobić? – zapytałam go.

– Przyjąć to, co ci powierzono.

Zawahałam się, lecz włożyłam ziarenka do ust i rozgryzłam je. Natychmiast poczułam cierpki smak granatu, a Gabi posłała mi uśmiech – tak beztroski, że serce ścisnęło mi się w węzeł – po czym rozwiła się, dołączając do innych duchów.

Dopiero teraz moich uszu dobiegły stłumione odgłosy walki, pokrzykiwania Goliata i Świstaka. Podniosłam się, czując siłę, jakiej wcześniej nie potrafiłam sobie wyobrazić.

Prorok rzucił ku mnie jakiś metalowy drąg, pewnie przywleczony z góry z którejś ekspedycji. Potem zatrzymał się na chwilę, skłonił lekko głowę.

– Powiedziałaś, że ziemia rodziła dla ciebie owoce. Władasz jej twórczym pierwiastkiem. Życiem. A dziecko oddało ci krainę Podziemia. Królestwo śmierci. Teraz jesteś kompletna. Ziemia cię usłucha, bez względu na to, czy każesz jej rodzić czy niszczyć.

– Kora – szepnęłam do niego, nagle uświadamiając sobie, kim się stałam. – Moje nowe imię...

Prorok ruszył biegiem, a ja potruchtałam za nim, ściskając w lewej dłoni drąg, choć wiedziałam, że do niczego mi się nie przyda. Moja broń podążała za mną i otaczała nas ze wszystkich stron, przyczajona za betonową skorupą i gotowa rozsadzić ją na jedno moje skinienie.

Tymczasem Goliat wciąż stał naprzeciw włazu, naprzemiennie ciskając ognistymi kulami i rażąc piorunami atakujących Świrusów. Stojący za nim Świstak wspierał go, rozdmuchując płomień i zmiatając wroga uderzeniami powietrza. Świrusy nie dawały jednak za wygraną.

Kilkoro z nich musiało obejść wzgórze dookoła, wspiąć się po przeciwnej stronie. W ten sposób byli całkowicie osłonięci od ataków Goliata i Świstaka – dopóki nasi uderzali ze środka, ich żywiołowe pociski mogły lecieć wyłącznie w jednym kierunku. Intruzi czekali na chwilę przerwy w podmuchach wichru. Kiedy to nastąpiło, jeden z nich zeskoczył z otaczającego właz nawisu, solidnym kopnięciem przewrócił olbrzyma, który, upadając, posłał ognisty jęzor wprost na betonowy sufit. Płomień śliznął się po sklepieniu i znikł, zostawiając po sobie smolisty ślad.

Zakutany w skafander, przysadzisty Świrus dopadł Goliata, poderwał go jedną ręką,

przycisnął do ściany. Zanim zdążył uderzyć, pan ognia i piorunów otworzył usta i rzygnął na niego ławą. Siłacz zawył, ale nie zgłównił chwytu.

Tymczasem do środka wpadło trzech następnych. Rozchodzący się spiralnie podmuch ściał ich z nóg, miotnął poderwanymi ciałami i rzucił w kąty, nie oszczędzając też mnie i Proroka. Świstak darł się, próbując zapanować nad żywiołem, wykrzesać z siebie kolejny poryw. A do schronu ładowali się kolejni napastnicy, wśród nich dryblas ze spluwą. Prorok, który wylądował najbliższej włazu, rzucił się na niego, bez namysłu waląc drągiem w uzbrojoną rękę. Piśtoleł upadł pod nogi innego zbira, dryblas w odcwie wrził zdrową pięść w zapadnięty brzuch Proroka.

– Za dużo ich! – krzyczał Świstak. – Nie mamy rady!

Spojrzałam na Goliata, któremu udało się obezwładnić siłacza i na zwijającego się z bólu Proroka.

– Do korytarzy! – wrzasnęłam. – Szukajcie Małej! Szybko! Świstak, przejście dla Proroka! Dmchnęło potężnie.

– Co chcesz... – zaczął Goliat, ale umilkł, gdy ściany, pod którymi zalegli rzuceni wichrem napastnicy, eksplodowały. Sufit nad naszymi głowami zadrzał.

Opuściłam ręce, pociągnęłam Goliata. Wbiegliśmy w korytarz tuż za Świstakiem i kulejącym Prorakiem. Puściłam mężczyznę przodem, zatrzymałam się.

Pot perlił mi się na czole, sphywał po twarzy. Nozdrza wypełniał zapach krwi. Czulałam ucisk w głowie i moc, wciąż obecną, ale niknącą, gasnącą jak wypalająca się świeca.

– No, dalej – szepnęłam do siebie. – Zemia cię usłucha. Dalej, no dalej!

W chwili, w której znajomy dryblas, odzyskawszy broń, dobiegł do wlotu korytarza i wymierzył we mnie, betonowy strop

zawalił się, zmiażdżony naporem posłusznej ziemi, odgradzając nas od rozwścieczonych Świrusów.

Dopiero gdy odwróciłam się i pobiegłam za resztą przez pusty korytarz, dopadły mnie wątpliwości. Nie wiedziałam, czy właśnie nas ocaliłam, czy pogrzebałam żywcem. Złapałam się na tym, że stawiając kolejne kroki, szepczę modlitwę o to, byśmy okazali się – jak to bogowie – nieśmiertelni. Pytanie tylko, kto miał tej modlitwy wysłuchać?

Ci z atakujących, którzy przeżyli, wkrótce dali za wygraną. Siedzieliśmy na ławach w jadalni i lizaliśmy rany, konstatując, że wciąż krwawimy, jak śmiertelnicy, ale nasze skaleczenia cuchnęły jak przypalany plastik. Mała tuliła pręgowanego kociaka, a ja wciąż bałam się zapytać, co się stanie, gdy otworzymy drzwi sypialni, w której rysowałyśmy ZOO. Świstak popijał whisky z gwinta, Goliat dokręcał jakieś zaimprovizowane rączki do popsutej lalki. A Prorok węszył.

– Poszli, skurwysyny – zameldował wreszcie.

Goliat mruknął coś w odpowiedzi, a Świstak czknął. Panujące teraz milczenie wydawało mi się cięższe od tego, które poprzedzało wypowiedź Proroka.

– Co teraz? – zapytałam w końcu. Czulałam się, jakby ziemia, której kazałam nas pochłonać, całym ciężarem zaległa na moim sercu.

– Zbierzemy siły. Zaczekamy na tych, którzy mają do nas dołączyć. Nauczymy się panować nad tym, co potrafimy i być tym, kim się staliśmy. Pierwszą bitwę mamy za sobą, ale podejrzewam, że aby świat mógł znów zacząć istnieć, musimy go... oczyścić. Nowi ludzie nazwą to pewnie kiedyś Świrusomachią, a może jeszcze innym cholerstwem. – Oczy Proroka błyszczały, gdy o tym mówił.

W tej erze, która właśnie ma się rozpocząć, pałac bogów ma ściany z betonu, a na metalowych regałach piętrzą się pudła skrywające konserwową ambrozię. Nie unosi się, nie wisi pośród obłoków, tylko tuli się do umarłej ziemi tuż pod jej spaloną skórą.

Tak jak przewidywał Prorok, wkrótce kolejni wybrańcy dołączyli do naszego pantheonu. Młodzi bogowie, wciąż jeszcze przeżeni posiadaną mocą, wciąż odkrywający swoje domeny. Tymczasem świat niemal całym już opustoszał – przynajmniej ten jego fragment, którym daje się władać z naszego wzgórza. Świrusy pozostały wspomnieniem, do którego rzadko wracamy. Z rosnącą śmiałością bierzemy na siebie odpowiedzialność za tworzenie nowego ładu.

Mała większość czasu spędza pod ziemią. Potrzebuje betonowych ścian i okruszków kredy, by każdego dnia na świat wyłaniały się nowe gatunki fauny.

Wiem, że kiedy znudzi ją zabawa

w rysowanie, odszuka wydobytą kiedyś z ruin i naprawioną przez Goliata lalkę. I wtedy wszystko zacznie się toczyć od nowa.

Wiem też, że nie jesteśmy jedyni. To, co przydarzyło się nam, spotkało również innych, w mniej lub bardziej odległych zakątkach świata. Gdzieś tam rozrzucone są podobne schrony, w których rodzą się nowe początki. I choć teraz są to miejsca tak odległe, tak bardzo poza zasięgiem, jakby w ogóle nie istniały, kiedyś te porozrzucane kawałki ziemi zblizną się do siebie. Krąg się domknie, a nowa ludzkość znów sprowadzi koniec w naszym imieniu, choć zupełnie nie podług naszej woli.

A my odkrywamy wtedy, jak płaczą bogowie, gdy giną wraz ze swoim światem.

■ **EWA MARCHWIŃSKA** MIESZKA W TORUNIU Z MĘŻEM I PSEM, ZAWODOWO ZAJMUJE SIĘ PSYCHOTERAPIĄ. DUŻO CHODZI, CZASEM BIEGA, KOCHA GÓRY I HERBATĘ. DOTYCHCZAS SWOJĄ TWÓRCZOŚCIĄ DZIELIŁA SIĘ Z UŻYTKOWNIKAMI PORTALU FANTASTYKA.PL, DWA TEKSTY UKAZAŁY SIĘ RÓWNIEŻ W SZORTALU NA WYNOS.

Rajski ptak, rajska dusza

Aleksandra Stanisz

Praca konkursowa „Zaginiony wpis w słowiańskim bestiariuszu”

Mamuna Radowita konała.

Jej barłóg z koców, uwity na pokrytym mchem materacu, wrastał w ścianę chaty, a ona sama, o sierści równie burej, co okrywający ją pled, wtapiała się w starą wełnę i porosty. Leżała półprzytomna, ściskana kurczowo za rękę przez przycupniętego obok posłania rokitę.

Jej siostry uwijały się w izbie. Szykowały kojące maści na zaropiałe rany, nosiły studzienną wodę na okłady, mieszały zioła i śmierdzące wywary na lekarstwa. Pod oknem ktoś bawił otulonego wzorzystym kocykiem maluszka, lecz jego gaworzenie nie dało rady przebić się przez szum krzątaniny. Mamuny były prawie nierozróżnialne – wszystkie równie przysadziste, włochate, w wiekowych sukienkach skrywających zarzucone na plecy piersi. Ich twarze, tylko z zarysu ludzkie, zniekształcała trwoga. Żadna nie zauważyła pojawienia się przybysza.

Opierając się bokiem o futrynę, nieznamoma obserwowała zamieszanie. Po chwili

wyłoniła się z niego ruda demonica w obcisłej kreacji w słoneczniki i wyprowadziła kobietę uprzejmie, lecz stanowczo na łąkę przed zapadającą się chatynką. Budowla ze spróchniałego drewna wyglądała nierealnie na tle zieleni skąpanej w ostrym, letnim słońcu.

Mamuna otaksowała wędrowniczkę spojrzeniem i rozluźniła się. Dygnęła, unosząc skraj sukienki.

– Pani Kasiu, nie spodziewałam się pani.

Czarownica trąciła rondo słomkowego kapelusza.

– Reklamacje zawsze przyjmuję osobiście – zadeklarowała i poprawiła zawieszony na ramieniu wysłużony plecak. – Ale, jak widzę, to nie jest reklamacja mojego uroku maskującego. Rzadko robicie takie złoty rodzinne, prawda?

Przeniosła wzrok z chaty na rozmówczynię, mroząc spojrzeniem powietrze.

– Co się wydarzyło, Bądo? Za co chcecie się u mnie ponownie zadłużyć?

Czekając na odpowiedź chmurnej gospodyni, skupiła się na studni tkwiącej w pół drogi między rozsypaną oborą a stertą dech po stodole. Przy okazji wyciągnęła z plecaka pustą butlę po wodzie.

– Czy wasza studnia nadaje się też dla ludzi?

Bąda skinęła głową, trochę zdezorientowana pytaniem. Po chwili stała oparta o cembrowinę, obserwując męczącą się z żurawiem czarownicę.

– Jak na Welesowe dziecko, jesteś dobrym człowiekiem. – Z namaszczeniem rozpoczęła przemowę. – Przez te ostatnie dwadzieścia lat pomogłaś wielu z nas wpasować się w obecny świat, nie tworząc sobie przy okazji armii wasali, związanych długimi przysługami. Nie patrzysz też tak srogo na granice rejonów, nie wiem, czy ktoś inny przyjechałby ze starego Mazowsza aż na Kielecczynę.

Pani Kasia udało się ustawić szyję żurawia pod odpowiednim kątem. Chwyliła za obciążnik i sceptycznie przyjrzała się demonicy.

– Biorąc pod uwagę – wtrąciła – że macie wybór pomiędzy chowaniem się po kątach a udawaniem ludzi, to pomoc taka, jak moja jest jedynym rozwiązaniem miłym Wołosowi.

– Żeby tylko wszyscy tak myśleli.

– Co stało się Radzi?

Bąda podrapała się w owłosione nadgarstek, gapiąc wprost w południowe słońce.

– Rozpoznali ją.

Obciążnik wyleciał z rąk pani Kasi i z łomotem spadł na ziemię, wprost na jej kostkę. Gdy kleła na czym świat stoi, przywódczyni mamun kontynuowała:

– Z Iwonem mieszkali w Łodzi od lat, on robił przy osuszaniu piwnic, ona bawiła cudze dzieci. Twoje uroki im służyły bez zastrzeżeń. A potem doczekali się brzdąca, Brozia. Śliczny dzieciak, różki jak po tacie

i oczka jak u sówki.

Demonica zawiesiła głos, bezsilnie pokręciła głową. Pani Kasia, której w międzyczasie udało się rozmasować stłuczenie i sięgnąć czerpakiem wody, dopowiedziała oczywiście.

– Powołanie się w niej odezwało.

Bąda przytaknęła.

– Para, która zamiast swojego dzieciucha znalazła w kołysce odmieńca, szybko wytropiła ich norkę. Nie dość im było zamienić dzieci, o nie. Mścili się. Wiedzieli, jak się mścić. Nie wiemy, co jej zrobili, ale kiedy Iwo wrócił i ich wygonił, to... to było po wszystkim. Brozio jest cały, choć zaczęli mu odcinać ogonek, ale Radzia... Ona już nie wydobrzeje.

Wiedźma wyciągnęła wiadro z nabraną wodą. Zerknęła do środka, wyловиła żabę, pogroziła jej palcem i z powrotem wrzuciła do studni.

– Pewne tego jesteście? – wyraziła wątpliwość, odstawiając wiadro na trawę. – Mogę jej się przyjrzeć?

– Obędzie się – zjeżyła się Bąda.

Wiedźma uniosła brwi z powątpiewaniem. Ściągnęła plecak, wyciągnęła butelkę.

– Zatem powiedz mi, czego właściwie ode mnie chcecie. Nie jestem uzdrowicielem, nie jestem katem. Nie wiem, czy słusznie ją wysyłacie do grobu. Zresztą, czemu ten kram zwiozłyście w góry? Jak żeście...

– Kiedyś na tych wzgórzach był gaj Swaróżyca. Wyrajskie ptaki nadal przylatują w czasie żniw.

Mało brakowało, a wiedźmie ponownie coś poleciałoby z rąk.

– Chyba żartujecie.

– Nie, wyptak jest jej ostatnią nadzieją. My nie możemy do niego podejść, od razu nas porwie. Ale normalny, śmiertelny człowiek...

– Rojenia!

– Mam tu przyprowadzić Iwona, by panią na klęczkach błagał?!

Czarownica przełała mętny płyn do butli i wyciągnęła z tylnej kieszeni bojówek szmatkę z rozbudowanym, wielobarwnym haftem, podobnym do wzorów na wschodnich strojach ludowych. Dmuchiwała na nią i przyłożyła do przezroczystego plastiku. Brudy w cieczy, niesione niewidoczną siłą, ruszyły się, zwinęły w wir i zniknęły, pozostawiając wodę czystą jak szkło. Pociągnęła długi łyk.

– To będzie bardzo drogie.

– Wiemy.

– Nie umiem rozmawiać ze zwierzętami.

– Poślemy Iwona z tobą.

– By go wyrajski ptasiór porwał? Sama sobie przeczysz. – Zrobiła krótką pauzę. – Nadal nie chcecie prosić Wołosa o wstęp do Nawii, co?

– Jeszcze czego! – oburzyła się mamuna. Wiedźma przeliczyła coś, mrucząc pod nosem o długach, wabienu i popiele. W końcu zamknęła oczy, z udręką rozmasowała mostek i wyciągnęła przed siebie rękę.

– Ja, Katarzyna od słów i znaków, Welesowa córka, godzę się użyć mych przymiotów do odnalezienia i przekonania wyrajskiego ptaka, powiernika dusz, by pomógł mamunie Radomierze odejść w spokoju z tego świata. Ceną jest pięć przysług od jej potomka i jej kochanka, oraz trzy przysługi od każdej z jej sióstr, wyświadczonych mnie bądź moim uczniom i uczennicom.

Pomimo deklaracji, mamuna skrzywiła się, słysząc cenę i dopiero po chwili wahania ucisnęła nadgarstek wiedźmy. Wiązka przysięgi zaiskrzyła się i wsiąkla w brzoskwiniową skórę oraz rude futro. Umowa została zawarta.

Problem demonów polega na tym, pomyślała

pani Kasia, że mają tylko połowę duszy.

Wskazała kierunek marszu rokicie Iwonowi, wypchniętemu przez Bądę z warty u boku ukochanej do pomocy wiedźmie. Gdy torował najkrótszą drogę do ścieżki, gdzie pozostawiła samochód, pani Kasia powróciła do rozmyślań.

Niegdyś każdy miał dwie dusze. Dusza ziemska stanowiła sumę dziedzictwa przodków i krainy, w której ktoś się rodził. Zwykle wraz z pochówkiem przechodziła do Nawii, gdzie po poszukiwaniach znalazłoby się ją w jednej z jałówek pasących się na nieskończonych łąkach pod ametystowym niebem. Dusza niebiańska była zaś całą resztą – tym, co o człowieku stanowiło, że jest czymś więcej niż mozaiką sporządzoną z gleby i własnych praszczurów. Po śmierci wznosiła się hen, aż do Prawii, by po jakimś czasie zlecieć do kolejnego żywota na skrzydłach mitycznego wyrajskiego ptaka.

Tak było do czasu, aż wrota Nawii i Wyraju zostały zamknięte.

Barykadujących się przed nowymi czasami bogów nie obchodziło, kogo pozostawili na Jawie i jaki los ich czekał. Parę boskich ptaków utknęło w rzeczywistości, bez dusz do przenoszenia ani żadnego zadania, co nikomu nie wyszło na dobre. Po dziewięćsiem latach ostąpiła się ich garstka. Welesowym dzieciom wiadomo było jedynie tyle, ile uchowało się w podaniu: gdy wyrajski ptak zauważy demona, to już po nim. Stwór pochwytywał tę błakającą się, splugawioną duszę niebiańską i odlatywał w dal, najpewniej po to, by ponownie spróbować przeniknąć przez nieboskłon wprost do Prawii. Czy korona dębu-świata rozstępowała się przed nimi? Czy dusza wracała do cyklu trwania, czy utykała na zawsze gdzieś w gałęziach? Nawet jeśli ktoś to wiedział, zachował dla siebie i pominął ten fragment przy przekazywaniu historii uczniom.

Te wariatki chciały zostawić swoją siostrę,

zupełnie jakby była odmieńcem. We wszystkich naraz przebudziło się powołanie, czyli te same fiksacje, przez które utknęły na Jawie w takiej, a nie innej postaci. U każdego stracha powołanie wyglądało inaczej. U zmór często był to opór przed opuszczeniem świata tuż przed życiowym przełomem. U rokit – niechęć do społeczności na tyle duża, że nawet zaświaty wydawały się nazbyt zatłoczone. U mamun najpewniej ucieczka przed wyrzutami sumienia, że się kogoś porzuciło.

Przed sobą usłyszała płacz, bardziej przypominający beczenie kozła niż ludzki szloch. Iwon stanął pośrodku wytaczanego szlaku, zadzierając głowę do góry i walcząc z uczuciami. Pani Kasia rozważała, czy nie spytać go, co sądzi o całej sprawie, ale nie miała serca robić tego tu i teraz. Podbiegła i sięgnęła, by poklepać rokitę w ramię, lecz jej ruch przerwał jego niepewny gest – wycelował palcem gdzieś przed siebie. Spojrzała we wskazanym kierunku.

Na widocznym zza krzaków poboczu stał pożyczony od męża wóz. Wóz, który nie powinien być widoczny dla kogokolwiek poza nią. Zmrużyła oczy. Jeśli wzrok jej nie mylił, to runy naniesione na szyby rozmazano tak, by zneutralizować je jak najmniejszym kosztem. Pozostałe zabezpieczenia wydawały się jednak nienaruszone, jakby ktoś po pierwszej czy drugiej próbie złamania ich znużył się i sobie darował.

– Czujesz, by ktoś tu był? – spytała rokitę.

Demonowi jej niepokój udzielił się na tyle, że przez chwilę zapomniał o żalobie i zaczął węszyć. Zajęło mu to dłuższą chwilę, jakby lata spędzone w mieście przytępiły kluczowy zmysł.

– Jakiś facet, z godzinę temu – stwierdził. Wciągnął powietrze, jego chrapy zadrżały. – Pachnie słońcem i burzą.

– Śledzili was od Łodzi? – zapytała,

wyciągając z kieszeni motek ze szmatkami.

– Miłka miała tego pilnować, ja nie... – urwał i powrócił do węszenia.

Znalazła odpowiednią i ściskając ją w dłoni, spróbowała rozszerzyć zmysły poza ciało. Oprócz nich, paru ptaków i małych zwierzątek, w okolicy nie było żywej duszy. Nikt ich nie obserwował. Nikt nie zastawił zakłęk obserwacyjnych. Ktoś wręcz nagannie zlekceważył sprawę. Chyba mogła zgadnąć, kto, ale co mieliby tutaj robić?

Rokita odchrząknęła, wyrывая ją ze skupienia.

– Czuję jeszcze poziomki – dodała skwapliwie.

Parsknęła śmiechem, upewniając się w swoich podejrzeniach. Podeszli do auta i zajęli się istotniejszymi sprawami.

Wiedźma otworzyła bagażnik. Wyciągnęła skrzynię na narzędzia, rozplotła wór marynarski i rozsunała dolną komorę plecaka wędrowniczego. Wyciągnęła parę narzędzi, worek z peleryną przeciwdeszczową oraz kolejny zwój tkanin. Rozwinęła jeden z lnianych motków, ukazując światu koszulę z czerwonymi haftami.

– To powinno nam starczyć – oceniła i wodząc palcem po kolejnych wzorach, zaczęła tłumaczyć. – Tutaj masz ochronę przed żarem. Nie jest całkowita, bo będziesz go czuć, chociaż nie uszkodzi ani ciebie, ani odzienia. Tu, na brzuchu, masz niepozorność, dzięki której obcy odwrócą od ciebie wzrok.

– Niepotrzebne mi to – wtrącił rokitą. – Mogę się wtopić w zarośla, albo zamienić w mgłę.

– Nie robiłam jej specjalnie dla ciebie, chłopcze.

Ze skrzyni wydobyła pudełko po bombonierce i parę luźnych szmatek. Z pudełka wyjęła już nawleczoną na igłę szkarłatną nici i na piersi paroma ściegami doczepiła jeden

ze strzępków.

– Tutaj masz jeszcze krasomówstwo – poinformowała. – Czuję, że może się przydać.

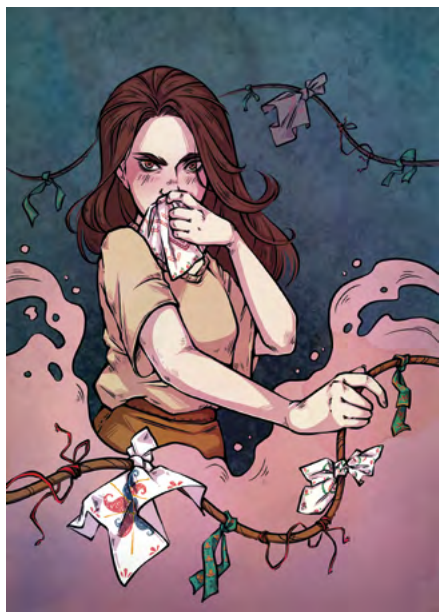
Chociażby do tego, pomyślała, by odwieść was od tego durnego pomysłu.

– A pani?

Bez słowa podwinęła swoją koszulę z kołnierzykiem, ukazując białą podkoszulkę, i odwinęła pasek bojówek. Jej ubrania skrzyły się od drobniutkich haftów, mocniejszych niż pancerz.

Przełożyła jeszcze parę gratów do bagażu podręcznych i rozdzieliła pakunki. Zerwała z najbliższego krzaka parę jagód, zmiażdżyła je w dłoni i bordowym sokiem nakreśliła runę pominięcia na szybie. Zlustrowała swoje dzieło i dmuchnęła nań, nie pomijając żadnej kreski. Cofnęła się o dwa kroki i cmoknęła z uznaniem. Już sama ledwo była w stanie zauważyć wóz, więc intruz musiałby na niego dosłownie wejść.

Mogli odejść na poszukiwania.



W ruskich bajdach boskie ptaki były jasne, majestatyczne, i na opierzonych karkach nosiły niewieście głowy. Wątpili, by rodzima wersja wyptaka też miała być stworem z sennych koszmarów, więc, ku własnej rozpaczy, szli w ciemno.

Okryci magicznymi gieźlami, zacaili się w leśnym cieniu i rozważali, jak ugryźć sprawę. Zaczęli, chwytając się nielicznych pewników i ruszyli ku polanie, na której już widywano poszukiwanego ptaka. Iwo przekonywał, że da radę go wyczuć, ale pani Kasia już planowała wieczorną rozmowę z mężem i miejsce na nocleg, gdyby jej „wycieczka do znajomej z liceum” w góry Świętokrzyskie okazała się ciut dłuższa niż zakładała.

Przy zapewnieniu (kolejnym w ciągu dwóch godzin) o wywaciwaniu lisich tropów z odległości dwustu kroków, pani Kasia darowała sobie uprzejmość i zadała męczące ją od godzin pytanie.

– Iwonie, czy jesteś pewien, że to wszystko jest potrzebne? Że ona nie wydobrzeje?

Iwo beknął z irytacją i już miał zripostować, gdy zagłuszył go ryk zza prześwit. Zamarli.

Na polanę wszedł ogromny mężczyzna – wysoki na ponad dwa metry, szeroki w barach niczym Wyrwidąb i z olbrzymią grzywą okalającą rumiane oblicze. W ramionach dzierżył równie potężny, powyszczerbiany garniec, z którego co krok usypywały się ziarna pszenicy. Ustawił naczynie na trawie, cofnął się o dziesięć kroków i rozejrzał groźnie. Zawiesił wzrok na brzozach, za którymi stali wiedźma i demon. Mężczyzna zmrzył oczy, jakby coś w krajobrazie go mierziło. Po chwili odwrócił wzrok, zlustrował resztę zarośli, a w końcu kucnął w pełnym słońcu, czekając na coś.

Dobrze widzieć, że zaklęcia działają,

pomyślała pani Kasia. Żle, że ktoś im mar-
nuje miejsce na czaty i...

Nad przeciwnym krańcem łąki przele-
ciała małeńka sójka i w locie porwała parę
usypanych ziarenek. Brodacz poderwał się
i pobięł w ślad za nią.

– To nie dla ciebie, durna! – huknął, nim
ptak zniknął wśród koron drzew. Krzyczał
jeszcze przez chwilę, po czym odetchnął
głęboko, zaklął malowniczo i przybrał pozę
jeszcze bardziej upodabniającą go do obwie-
szonego amuletami goryla.

– Pokaż się, ty cholero niebiańska! –
wrzasnął ku niebiosom. – Nie po to tu przy-
nęę... żertwę wiozłem tyle kilometrów! Nie
po to słoń z muzeum kradłem! Zwabże się,
no!

Mężczyzna ponownie spróbował się
uspokoić, ale tym razem jeszcze szybciej
dał za wygraną i tylko krzyknął, wyrażając
świata pięścią.

– Na Swaroga i Peruna, co do jednego ci
te pióra z zadu powyrywam, ty...!

Wśród drzew znów coś przemknęło. Mąż
rzucił się tam, do pakietu swych gróźb do-
dając błyszczącą od wydrapanych na rączce
run finkę.

Trwali w odrętwieniu przez następnych
parę oddechów, obserwując najbardziej ka-
rykaturalnego poganina, jakiego pani Kasia
w życiu spotkała.

– To co robimy, psze pani? – spytał
rokita.

– Prowadź do następnej łąki – zarządzi-
ła. – Ten heros to taki dobry wabik, że nic
tu po nas.

Problem wyznawców dawnych bogów był
podobny do problemu wyrajskich ptaków –
dobijali się do zamkniętych wrót Prawii, po
swojemu tłumacząc ciszę po drugiej stronie.
Gdyby w odpowiedzi na modły usłysze-
li sugestię, że ich matka była chomikiem,

a ojciec pachniał bzem, i tak uznaliby to za
błogosławieństwo bogów. Panią Kasię bar-
dziej irytował inny zwyczaj – podciągali pod
swoją wiarę wszystko, co wydawało im się
ciekawe. Pogańskie kultury stapały się u nich
w jedno. Perun siedział u stołu z Odysem,
Weles i Wołos były osobnymi bytami, bliż-
szymi raczej szatanom niż sobie nawzajem,
a demony przyrody niczym nie różniły się
od błakających dusz. Zbierali artefakty jak
sroki błyskotki, bardziej łasi na liczbę błysz-
czących run niż na ich użyteczność. Żadne
z Welesowych dzieci nie potrafiło patrzeć
na to inaczej, niż jak na wyglupy smarkaczy,
z których prędzej czy później powinno się
wyrosnąć.

Czasami któryś z czarowników nie miał
oporów przed łatwym żerem lub, co gor-
sza, sam miał kisiel zamiast mózgu i wie-
rzył w to samo, co poganie. Szybko zyskiwał
tytuł żercy i zajmował się odgadywaniem
woli bogów. Wróżył z chmur, z dwudziesto-
ściennych kości albo gołębic wnętrzności,
a co wyczytał ze „znaków”, wcielał w życie
z zapalem godnym lepszej sprawy. Później
znajdowano jego wiernych, bawiących się
w pogromców wąpierz w miejskich kata-
kumbach, czyhających z szablą na rozsta-
jach dróg w oczekiwaniu na boruty, albo
przekonujących duchy rzeki, by wysadziły
najbliższą oczyszczalnię ścieków. Mogli też
polować na mityczne stworzenia, tak jak ci,
których pani Kasia i Iwo mieli okazję obser-
wować w naturze.

Natykali się w lesie na kolejnych rozsier-
dzonych młodych ludzi, którzy mimo skwa-
ru i drapieźnych owadów byli przygotowani
na zadanie godne prawdziwego gieroja. Pró-
bowali rozprawić się ze straszliwym ptaszy-
dłem jak rycerze w baśniach – wyzywając
na pojedynek i wywijając zaklętym orężem.
Gdy tylko kątem oka zauważyli ruch, szarżo-
wali ku niemu, płosząc wszystko w okolicy.

Wiedźma i rokita w koszulach-niewidkach nie mieli problemu z ominięciem młodzieży, jednak z każdym kwadransem coraz bardziej pragnęły przegonić ją na cztery wiatry.

Poganka zajmująca ostatnią polanę już dawno spasowała. Koścista dziewczuszka w wieńcu z przywiedłych kwiatów siedziała w cieniu, pukając w telefon komórkowy i wachlując się liśćmi klonu. Narzekała na coś głośno, jednak obserwatorom udało się wychwycić wyłącznie „tyle kilometrów” i „Kupała na Kabatach była lepsza”. Dziewczyna wzniosła oczy ku niebu i gwałtownym ruchem zrzuciła z głowy wianek.

– To nie ma sensu – oznajmiła ze swadą.
– Wracam do domu.

Parę kliknięć w ekran później wycelowała komórką mniej więcej w kierunku najbliższej szosy, zgarnęła płócienną torbę i odeszła, starając się nie zaczepić hippisowską spódnicą o krzaki. W ślad za nią z drzewa zleciała sójka. Ptaszyna czujnie dźgnęła dziobem porzucone kwiaty i pochwytyując parę maków, przeniosła się na tkwiący pośrodku łączki głaz.

Wychodząc z cienia, pani Kasia popatrzyła z niedowierzaniem w ślad za poganką i pokiwała głową z dezaprobatą. Rozłożyli pakunki na ziemi i po chwili zastanowienia wiedźma zabrała się za szykowanie najlepszej improwizowanej przynęty, na jaką było ją stać.

Wytrząsnęła z głównej kieszeni motki czerwonej włóczki, sznury z naturalnych włókien i rolki grubych wstążek. Dorzuciła zebrane agrałkami płócienne kwadraty z wyhaftowanymi zakłębieniami. Z plastikowej teczuski wyjęła wzory glifów i przez dłuższą chwilę szukała właściwego. Znalazła i uniosła go tryumfalnie, odliczyła potrzebne materiały, a na koniec wyłowila z marynarskiego wora solidne sosnowe kołki. Wręczyła je rokitom i pokazała plan wybranego znaku, instruując go, by zamknął w nim pobliskie

kamienie. Iwo zsalutował niezgrabnie i zaczął pospiesznie wypełnić instrukcje.

Pani Kasia odwinęła parę metrów sznura konopnego, nawlekała nań zwitki z symbolami i unieruchamiała je supełami. Jeśli wszystko będzie działało tak, jak tego chciała, to wewnątrz pola da złudzenie bliskości słońca i nieziemskiego ciepła, jakie ponoć można znaleźć wyłącznie w Prawii. Wyrajski ptak powinien przylecieć tu chociażby dla sprawdzenia źródła anomalii. Podniosła głowę, próbując oszacować potrzebną iczbę znaków. Jej uwagę przyciągnął Iwon, stojący nieruchomo jak obelisk naprzeciwko tej malutkiej sójki z kwiatkami. Ptak przekreślił łebek z ciekawością i najwyraźniej próbował rozłożyć ogon jak paw.

– Coś nie tak? – zapytała wiedźma.

Rokita obrócił się. Uszy miał postawione na baczność, a twarz mokrą od potu.

– To on – wydukał.

Ptak zamrugał parę razy, najwyraźniej ciesząc się konsternacją mieszkańców Jawy, po czym zaczął wydukać. Skryli uszy w dłoniach; dźwięk przypominał skrzywienie noża w żelwnym garze niż trel. Jakby siłą próbował wyrwać ich z ciał i pociągnąć gdzieś poza granice tego wymiaru, wysysając każdą duszę w tę straszną ciemność, w czerni okalającą świat...

– To oni – powiedział ktoś, ściągając ich z powrotem do rzeczywistości. Zza wbijających się w policzki źdźbeł trawy pani Kasia widziała czwórkę młodzików przyglądających się jej tkaninom jak jogurtowi rozlanemu w autobusie. Dzierżyli sieci na ptaki i długie sekatory. Za nimi wyczuwała czyjś ruch, jednak nie była w stanie nikogo tam dojrzeć.

– Patrzenie przed siebie, junacy! Nie dajcie się zwieść tej czarnej magii – rzekł ktoś głosem nałogowego palacza.

Zmusiła się do skupienia i z trudem

wychwyciła czerwony szal owinięty wokół męczyzny z aparycją pasującą raczej do drobnego handlarza niż kapłana. Opierał się na sękatym badyłu, który równie dobrze mógł znaleźć przed chwilą na ziemi, jak i przerobić dawno temu na kostur. Trzy ruchy – odrzucenie patyka, zwinięcie szarfy oraz przyglądzenie popielatych włosów – i bez problemu wtopiłby się w tłum.

Spróbowała usiąść i lepiej ocenić sytuację. Wyrajska sójka nadal siedziała na kamieniu jak gdyby nigdy nic, i obserwowała trzymającego się za skronie Iwona. Najwyraźniej nie spieszyło jej się, by go gdziekolwiek porwać. Poganie patrzyli z niepokojem na głaz, ale ich uwaga spływała z demonów jak woda z łusek wodnika. Hafty działały, a wyptak najwyraźniej dysponował własnymi mocami niezauważalności.

– Nie spodziewałem się tutaj spotkać Welesowej córki. Wasz pan w końcu postanowił wyjść z piekieł i podbić niebiosa? – w głosie żercy dzwoniła satysfakcja. Pani Kasia ledwo powstrzymała cisnący się na usta uśmiezek.

– Nie miesza ci się to z taką kreskówką z niebieskim Hadesem?

– Nie kpij ze mnie, mamuśko! Na pewno wiedzieliście, jak potężną moc mają pióra wyptaka! Gdzie go schowaliście?

– Wiedzieliśmy? – zdziwiła się szczerze.

– Oni jechali z Łodzi, ty z Płocka. Nie robi się wycieczek na takie zadup... na to łono natury bez powodu. Nie śledziliśmy was po to, byście nas zwodzili, wy france! – rozsierdził się kapłan. – Przecież dzięki tym piórom można sięgnąć niebios! Wy to chcecie dla końca świata, a my pomożemy naszym bogom opuścić więzienie! Chłopcy, przetrzebiec jej kieszenie i zabierzcie wszystko naznaczone mocą – zarządził i urwał, po raz pierwszy od dłuższej chwili zwracając uwagę na kogoś poza wiedźmą.

– Chłopcy, a wam co? – zapytał zmienionym głosem.

– Przecież tu nikogo nie ma – odpowiedział dudniącym głosem grzywiasty pogannin. Młodzieńcy masowali powieki i najwyraźniej próbowali odzyskać ostrość widzenia. Syczeli z bólu i skarżyli się na nagłą migrenę.

Uśmiechnęła się. Ot, standardowe skutki walki ludzi o słabej woli z zakłębieniem odwrócenia uwagi.

Zerca jęknął i z namaszczaniem wskazała przeciwników. Pani Kasia wykorzystała to, by zerknąć na rokitę. Demon zdążył otrząsnąć się i beczał miękko, mierząc się na spojrzenia z sójką. Przerwał, pochwytywszy wzrok wiedźmy. Dmuchnął, wypuszczając kłęb pary z paszczy, i pytająco uniośł brwi. Przytaknęła.

– Ona jest o, o tu, do diaska! – Wróż zaczynała wpaść w furję. – Czemu jej nie widzicie!?

– Czarcia magia, jak miemam – podpowiedziała usłużnie czarownica.

W mgnieniu oka całą łąkę skryła gęsta jak śmietana mgła. Młodzi poganie wrzasnęli z przerażeniem, nie rozumiejąc, co się dzieje, i czemu ich łydki zaczęło coś muskać. Nie widzieli wysuwających się z zarośli myszy, norrek, jaszczurek i innych stworzeń, na których instynkty mógł wpływać słaby leśny demon. Nie tracąc czasu, pani Kasia podniosła się i zaczęła brnąć w kierunku, z którego dochodziło ją echo skandowanych uroków. Mleczną biel rozproszyło migotanie przepływającej przez kostur magii. Przyspieszyła, w biegu rozwijając w dłoniach bawełnianą chustę.

Zerca także musiał kierować się dźwiękiem. Ze szczytu laski pomknął w kierunku wiedźmy dziwny, akwamarynowy promień. Zasłoniła twarz chustą, która załśniła, wchłaniając ładunek i obróciła się w popiół. Z chmury wyłoniła się postać kapłana, skapanego w iskrach przemykających po jego ciele jak pająki. Rozpoczął kolejną

inkantację, obracając wokół siebie kostur niczym żongler pałeczkę.

Bez większych ceregieli złapała podrzucony kij, kopniakiem w goleń wytrąciła żercę z równowagi, po czym zdzieliła go przez łeb jego własną bronią. Przewrócił się, lecz zachował przytomność i zaczął złorzeczyć z urazą. Odrzuciła badył, trzasnęła stawami w szyi i wzniosła ramiona nad powalonym. W kłębiącej się bieli pustce, przy wtórce coraz bardziej oddalających się wrzasków trawianych przez małe zwierzęta pogan oraz mrozącego krew w żyłach milczenia demonów, odcięła się od świata i dwukrotnie wyszeptła zaklęcie.

Żerca zamilkł raptownie, jego wykrzywienie wściekłością rysy wygładziły się, powieki opadły. Niepewna, czy nie przeholowała, pani Kasia sprawdziła tętno i policzyła oddechy wroga. Wyłowiła z najniższej kieszeni w bojówkach szmatkę z runą wykrycia i ścisnęła ją tak, by nici odbiły wzór na jej skórze. Odetchnęła z ulgą. Mag żył, lecz najwyraźniej był niespodziewanie podatny na zaklęcia uspokajające. Rozkład duszy w jego ciele był nienaruszony, dalej wszystkie jej aspekty krążyły po odpowiednich torach. Obwiązała mu oczy wyłowioną z kolejnej kieszeni czerwoną szmatą i krzyknęła w przestrzeń:

– Iwo, możesz już kończyć.

W mgnieniu oka mgła wsiąknęła w podmokłą łąkę. Oczom czarownicy ukazał się krajobraz po bitwie – stratowane zarośla, rozrzucone noże i amulety, sylwetki siłaczy umykające ku szosie, jakby nadal goniły ich wszystkie okoliczne strachy, zniżające się ku horyzontowi słońce i kłęczący przed kamieniem Iwo, przemawiający do umoszczonej w jego dłoniach wyrajskiej sójki. Szeptał do niej, ona odpowiadała wesołym ćwierkaniem. Nim wiedźma zdążyła go wezwać, Iwo wznosił dłoni i pozwolił wyptakowi odlecieć.

Obrócił się, błyskając wyszczerbionymi siekaczami i złocistymi piórami utkwionymi w splotach odzieży. Pani Kasia poczuła, że każdy mięsień w jej ciele drętwieje ze zgrozy.

– Udało mi się z nią rozmówić – oświadczył rokita. – Powiedziała, że darowała sobie wycieczki w koronę świata już dawno temu, ale dla nas zrobi wyjątek.

– Wasza historia złapała ją za serce? – skomentowała, zmuszając się do uśmiechu. Demon nie zauważył bądź nie chciał zauważyć kpiny, zbyt zajęty streszczaniem negocjacji oraz rozkoszowaniem się melancholijną ulgą. Słuchała go jak szmeru wiatru wśród drzew, próbując przeniknąć drugie dno radosnego wysyłania na drugi świat kochanki i stłumić swój własny, wzbierający ze spadkiem adrenaliny gniew.

Powinna była zbadać Radomiłę, zanim dała się w to wciągnąć. Powinna była zawrzeć w umowie klauzule i klarowanie je sformułować. Nie powinna była się spieszyć. Nie powinna była pozwolić potoczyć się sprawie tak, że okazała się w zasadzie zbędna. Powinna, nie powinna, czy to ważne? Rozmasowała skronie i rozejrzała się raz jeszcze po łące. Uświadomiła sobie, że jej trepy są pełne wody i że czeka ją odniesienie bagaży przez kilka kilometrów leśnego szlaku. Dosyć, uznała. Musi znaleźć godną zaufania uczennicę. Czeladniczka będzie biegać po lasach, mistrzyni będzie siedziała w domu i służyła doświadczeniem oraz wiedzą... No właśnie, w domu.

– Szczytny cel osiągnięty, czcigodna misja wykonana – stwierdziła ponuro, unosząc splątaną linę ze smętnie wiszącymi na niej szmatkami. – Teraz pomóż mi posprzątać ten bajzel.

Po odniesieniu pakunków do samochodu, schowaniu piór wyptaka do skrytki z naznaczonymi mocą składnikami i podrzuceniu

żerycy do parowu przy szosie, dała odprowadzić się z powrotem do chaty. Nie była pewna, czy zdecydowała się na nocleg wśród mamun wyłącznie z prozaicznych powodów – przecież naprawdę nie miała siły prowadzić auta nocą przez nawiedzany las – czy przez skwierczący w podświadomości wyrzut sumienia.

Mimo gorliwych podziękowań i całkiem wygodnego posłania w najczystszej izbie, nie mogła zasnąć. Nasłuchiwała krzątający, nasłuchiwała ciepłych szeptów kochanków, nasłuchiwała gaworzenia odmienia. Sen nie przychodził.

Uniosła się z koców i niespiesznie przeszła pomiędzy krążącymi mamunami, niewrażliwa na popychanie i zirytowane westchnięcia niepotrzebujących snu demonów. Tym razem nikt nie próbował jej powstrzymać. Przykłękała obok łoża boleści, wymieniła z Iwonem znękane spojrzenia. Wyrzuciła z siebie to, co powinna była zrobić wiele godzin temu.

– Nie dam wam jej zabić, nim sama jej nie zbadam.

Rokita przesunął się lekko, ustępując miejsca. Podziękowała i nachyliła się nad mamuną, ściskając w dłoni haft poznania. Wyrecytowała zaklęcie badania. Wiedza spłynęła na nią niczym fala powodziowa zza przerwanej tamy, pozbawiając ją tchu.

– Zadowolona? – dobiegło do niej kąśliwe sarknięcie Bądy, usypiającej w kącie izby Brozia. Wiedźma nie potrafiła na nich spojrzeć. Odsunęła się gwałtowniej niż zamierzała i bez słowa wróciła do legowiska, odprowadzona oburzonymi brakiem zaufania spojrzeniami, nudnościami oraz nadal kolebiącą się w głowie wizją.

Radowity już nie było. Zamiast niej pod osłoną wyliniałego futra i pergaminowej skóry skrzyły się rozproszone opilki duszy, jakby cała jej jaźń była niczym więcej jak

roztrząskanym młotem witrażem. Wzniesienie jej do Prawii w nadziei na sklejenie resztek było najpewniej próżne. Nawet przeniesienie przez portal do Nawii i znalezienie dawnej duszy ziemskiej nie pomogłoby. To, co pozostało z Radowity, wciąż konało, ale w środku była już martwa.

Wiedźma opuściła chatę o świcie, nie czekając na przybycie wyrajskiego ptaka ani na pożegnanie gospodarzy. Przystanęła tylko w kącie, klaniając się drzemiącemu Iwonowi, trzymającemu dłoń na kołysce syna. Po chwili wahania schyliła się i zawiązała na nadgarstku śpiącego odmienia zaklęciami ochronnymi i życzeniami szczęścia.

– Żebyś chociaż ty miał dobre życie wśród ludzi – wyszeptwała do kołyski i odeszła.

■ **ALEKSANDRA STANISZ**, PŁOCCZANKA, ABSOLWENTKA INŻYNIERII MATERIAŁOWEJ NA POLITECHNICE WARSZAWSKIEJ, OBECNIE ZAJMUJĄCA SIĘ GŁÓWNIIE ANALIZĄ KOROZYJNĄ, ZAPANOWANIEM NAD NIEPRZERWANIEM ROZRZASTAJĄCĄ SIĘ BIBLIOTECZKĄ I ĆWICZENIEM WARSZTATU PISARSKIEGO. LUBI PISAĆ O POTWORACH I SIEDZI PO USZY W DEMONOLOGII SŁOWIAŃSKIEJ, ODKĄD PODCZAS PIERWSZEJ WYCIECZKI DO MUZEUM USŁYSZAŁA, ŻE W POKRĘTU JEJ PRZEDSZKOLA ODNALEZIONO POCHÓWKI WAMPIRYCZNE.

Szansa

Krystyna Chodorowska

Odkąd pamiętam, miałam w głowie całe światy.

Inne historie, inne rzeczywistości, osie czasu, na które jak korale nawleczono inne wydarzenia.

Co by było, gdyby tacie powiedło się w interesach? Gdybym nie miała brata? Gdybym sama była czymś bratem? Gdyby wszystko było inaczej?

Na chwilę zatrzymuję się za drzwiami i zerkam do środka: matka jest ubrana jak do wyjścia, w ciemną suknię z wysokim kołnierzem, spiętą pod szyją srebrną broszką. Jeden z niewielu klejnotów, które jeszcze zostały w rodzinie.

– Mogę wejść?

– O co chodzi, Alessio?

– O terminy. – Brwi ściągają jej się na sam dźwięk tego słowa. – Wydział dla dziewcząt w Girton już niedługo otwiera nabór. Gdybyście złożyli teraz wniosek...

– Dziecko, obawiam się, że nie wiesz, o czym mówisz.

Jak zawsze mam wrażenie, że patrzy na mnie z góry, mimo że ona siedzi, a ja stoję. Włosy zaczesła do tyłu, odsłaniając skronie, choć w jej przypadku mija się to z celem, bo modna fryzura tylko obnaża braki – widać, że nie ma augmentów. Zawsze chciała je mieć, takie do rysowania, ale nie było nas

na to stać, nie wtedy kiedy my z bratem byliśmy mali i dużo chorowaliśmy, nie później, gdy inwestycje ojca w plantacje gumy nie okazały się tak zyskowne, jak obiecywano i nie teraz, kiedy nauka mojego brata i jego utrzymanie w mieście pochłaniały wszystkie pieniądze, jakie mogliśmy wydać i całkiem sporo takich, których nie mogliśmy.

– Wiem, że to nie byłoby tanie, ale mogę złożyć wniosek o stypendium. Mam to – unoszę rękę do wysokości ucha – więc dam sobie radę z nauką. A jeśli chodzi o utrzymanie...

– Dziecko, naprawdę nie sądzę, żeby to była odpowiednia chwila. Muszę wyjaśnić tę sprawę. – Kładzie rękę na stosie papierów, na szczycie leży weksel wypisany ręką brata z imieniem ojca jako trasanta i nazwiskiem, którego nie znam. Pernell i synowie, chyba nazwa sklepu. – A czy ty nie zaprosiłaś aby dziś koleżanek na herbatę?

– Tak, matko.

– W takim razie, na co czekasz? Idź i zawołaj Annie, niech pomoże ci zmienić sukienkę.

Znów pochyla się nad biurkiem; jej cień na ścianie jest ostry, jak wycięty z papieru.

*

– I co teraz? Wyślą cię na studia?

Inge praktycznie się dziś nie odzywa i po

tym domyślałam się, że znów przyjechał do nich z wizytą kuzyn Cedrik. Zawsze powtarzała mi, że go nie znosi, ale rodzice upominają, że ma być dla niego miła, bo to najlepsza partia, na jaką może liczyć. Widzę, że o tym myśli, bo pociera znamię na policzku, ślad, który ma od urodzenia, purpurowy, jak po oparzeniu.

– Nie wiem. Próbuję o tym rozmawiać, ale zawsze zmieniają temat.

– Inaczej chyba nie założyliby ci augmentów, prawda? Po co?

Wiem, że to niemożliwe, ale gdy sięgam do skroni, prawie czuję ich wibracje. Pole maleńkich magnesów umieszczonych blisko siebie ma pobudzać aktywność mózgu, miejsce wszczepu i częstotliwość pola decydują o tym, jakie rejony będą stymulowane. Mój zestaw miał pomagać w logicznym myśleniu, w rachunkach i naukach ścisłych. Gdy brat mieszkał jeszcze z nami, pozwalał mi się przysłuchiwać lekcjom z guwernerami; marzyłam wtedy o augmentach, wyobrażałam sobie, że gdybym je miała, rozwiązywanie zadań przychodziłoby mi o wiele łatwiej, ale nigdy nie wierzyłam, że je dostanę, a potem któregoś dnia, całkiem niespodziewanie, rodzice zabrali mnie do miasta, do kliniki, gdzie lekarz długo mierzył mi czaszkę, spoglądając w atlasy. Szwy były prawie niewidoczne i napuchnięte, różowe ślady wygoiły się w kilka tygodni, pozostawiając tylko rząd gładkich guzków.

Coś trąca mój warkocz, a potem pociąga go lekko.

– Uczeszę cię, chcesz? – proponuje Betsy. – Och, zgódź się, Alessia. Zobaczysz, że poprawi ci to humor.

Wie, jak to robić, cierpliwie rozpracowuje sploty tak, żeby nie bolało.

– Widzisz? – Unosi rękę, żeby popatrzeć na włosy spływające w dół ze szczotki. – Jak za dawnych czasów! Powinnaś jeszcze

opowiedzieć którąś z tych swoich historii!

– Chcecie?

Marietta przeciąga się na szezlongu. Wydyma usta; są bardzo czerwone, bo wcześniej zwilżyła je językiem, pewnie ćwiczy, żeby wykorzystywać to na najbliższym balu.

– Nie jesteście na to za stare?

– Może i tak. Ale ta historia wam się spodoba.

Myślałam nad nią dłużej niż nad którąkolwiek inną. Obracałam ją w głowie, dodając drobne kawałki tu i ówdzie, dokładając, odrzucając i zamieniając, aż w końcu rozrosła się bardziej, niż się kiedykolwiek spodziewałam, i przestała mi się mieścić w środku.

– To będzie porządna opowieść, taka jak rycerskie romanse, będą rodzinne tajemnice, i morderstwa, i miłość, i nie zdradzę wam, co jeszcze. Ale to wy zdecydujecie o tym, jak się skończy.

– Co?

– Każda z was wybierze sobie jedną postać. Od czasu do czasu przerwę opowieść, a wtedy powiecie mi, co teraz robią bohaterowie. Wtedy historia się zmieni.

– Jak to?

– To znaczy, że tak naprawdę nie ma żadnej historii – konkluduje Marietta. – Będziesz ją wymyślać w trakcie.

– To taka zabawa.

– Więc się zabawny! – Betsy decyduje się pierwsza.

Przysiadam na piętach pośrodku pokoju, tak żeby wszystkie mnie widziały.

– To będzie straszna i mroczna opowieść. A jej bohaterami... Nie! – Przerzywam i spoglądam na każdą z osobna. – W końcu to wasza historia, więc wy mi powiedzcie. Kim jesteście?

Betsy mruga zaskoczona.

– Skoro to rycerski romans, to znaczy, że my... musimy być rycerzami?

– Nie powiedziałaś... – Próbuje



wyjaśnić, ale Marietta wpada mi w słowo.

– A niby dlaczego? – Potrząsa głową, włosy opadają na bok, odsłaniając szyję.

– Kobiety też mogą mieć przygody. Mogą walczyć na wojnie. Jak Joanna d'Arc. Jak Boadika.

Od jakiegoś czasu ma fioła na punkcie plotek towarzyskich i mnóstwo czasu spędza na zapraszaniu ludzi i oddawaniu wizyt, ale widać wciąż znajduje czas, żeby czytać książki.

– No dobrze. – Betsy ściąga usta. – To ja... Chyba będę taka, jak jestem, tylko... z hrabiowskiej rodziny. I będę bardzo urodziwa – dodaje stanowczo. – Najpiękniejsza w okolicy.

Kiwam głową. Marietta prychnęła.

– Rób, jak chcesz. Ja za to będę potężna, jeszcze bardziej niż hrabiowie. Będę księżną. Albo jeszcze lepiej. – Celuje we mnie palcem. – Królową.

– Jeśli chcesz, możesz być córką króla – zgadzam się. – Ale nie królową. Ponieważ... – zastanawiam się. – Kiedy twój ojciec umarł, jego brat zagarnął po nim tron.

– Co?! I co mam teraz zrobić?

– Odzyskać go. Ta historia właśnie o tym będzie. Inge? A ty?

Inge pociera znamię.

– Ja... nie wiem. Chyba jednak będę rycerzem. Mogę?

– Oczywiście. Możesz wszystko.

Wskazuję dywan, zachęcając, żeby usiadły bliżej. Nachylamy się do siebie, jak w dawnych czasach, gdy przy świetle świecy opowiadałam historie o duchach.

– Nastąpiła mroźna, straszliwa zima – zaczynam i zataczam krąg dłońmi. – Ścisną teraz w swych szponach wszystkie ziemie tej krainy; łańcuchy gór, które nigdy nie wychodzą spod jej ręki, ale też lasy i pola, które odczuwają jej dotyk tylko przez pewien czas. – Kiedyś umiałam opowiadać i nie

potrzebowałam do tego augmentów i widzę, że nadal potrafię. – Pnie bezlistnych drzew pękają w mroźnym powietrzu, lodowaty wiatr wyje w załomach skał. Jesteście zmęczone, cały dzień byliście w podróży i teraz chcecie zatrzymać się gdzieś na nocleg, nim zapadnie zmrok. Spotykacie się...

Myślę.

– W zajeździe. Spotykacie się w zajeździe.

*

Na następnym spotkaniu wyciągam spod stołu pudełko.

Brat zostawił je, gdy wyjeżdżał na studia, bo nie chciał pokazywać się w wytworonym towarzystwie z pożońklymi kośćmi. Ostatnio sprawił sobie nowe – były jedną z kilku pozycji na wekslu – a potem jakoś przestały przychodzić jego niezapłacone rachunki.

– Od dzisiaj to nie ja będę decydować jak potoczą się wasze przygody. – Unoszę wieczko. Myślałam o rzucaniu monetą, ale to będzie lepsze. – Los sam to zrobi. Każdy wynik na kości będzie odpowiadał jakiemuś wydarzeniu.

– Ostatnim razem przerwałaś, gdy weszłyśmy do lasu. – Marietta z początku powątpiewała, ale teraz to ona najbardziej nie może się doczekać dalszego ciągu. – I spotkałam bandę rabusiów. Co się dzieje?

Rzucam.

Sześć.

*

Marietta jest potężna i majestatyczna. Jest jak tancerka; widzę to nawet tutaj, na leśnej ścieżce, pośród gnijących liści, widzę, jak cały świat wiruje wokół niej, gdy wyrzuca przez siebie rękę i bierze zamach mieczem. Z równą łatwością łamie ludziom ręce i serca.

*

Betsy jest piękna, ale to nie jest najważniejsze.

Trzyma serce na wyciągniętej dłoni. Koń poległego rycerza, znaleziony, gdy błakał się

po lesie, z początku jest narowisty i nieufny, ale już po dwóch dniach to na wpół dzikie stworzenie, które najpierw omal nie zabiło stajennego, pod jej ręką robi się potulne i łagodne. Potrząsa tylko łbem, gdy palce czarodziejki dotykają ropiejących ran.

*

W Inge jest coś, czego nie potrafię nazwać.

– Musimy iść dalej – oznajmia pozostającym. Mówi to chłodno, rzeczowo i tylko w jej oczach widzę jakby cień strachu, wspomnienie pogróżek Mordreda i nagrody, którą wyznaczono za jej głowę. A jednak stoi wyprostowana, z dobytą bronią, wiedząc, że nikt jej nie pomoże.

Powinnam pozwolić, żeby gra się potoczyła swoim trybem, tak, jak los zadecyduje, a jednak chcę być pewna, że ustoi tak aż do samego końca.

*

Dziewczęta chyba uważają, że mam wymyśloną inną opowieść na każdy wynik rzutu, ale przygotowanie sześciu różnych wersji to byłoby mnóstwo pracy, więc tak naprawdę mam ich tylko dwie: sukces albo porażka, ale właśnie tamtego wieczoru, patrząc na Inge, czuję, że to się musi zmienić, bo nawet zwykła gra w kości nad kuflem piwa to nie tylko kwestia szczęścia. Dziewczęta muszą poczuć, że coś od nich zależy: mogą ważyć swoje szanse i być sprytnie, mogą być ostrożne albo ponieść ryzyko. Potrzeba nam więcej liczb.

*

Wychodząc na przechadzkę proszę Annie by wzięła ze sobą wiadro i idziemy nad urwisko nakopać gliny; mówię rodzicom, że chcę wyrzeźbić twarz greckiego boga. Będzie trochę brudu i bałaganu, ale sztuki plastyczne to dobra rozrywka, odpowiednia dla dorastającej panny. Będą mogli pochwalić się kawalerom, kiedy przyjdą w zaloty.

*

Wygląda na to, że kształty, o jakie mi chodzi, znano już w starożytności: wielościany foremne o czterech, sześciu, ośmiu, dwunastu i dwudziestu ścianach – w podręcznikach do geometrii, które znajdują w pokoju brata, piszą o nich „bryły platońskie”. Używam tej nazwy, kiedy proszę kucharkę, żeby wypaliła mi je w piecu.

Gdy znów biorę je do ręki, są czerwona-we i ciężkie; wstrzymuję oddech, kiedy toczą się przede mną po dywanie. Teraz muszę się przekonać, czy wykonałam je jak należy. Prawdopodobieństwo każdego wyniku powinno być takie samo.

Wypada dziesięć. Siadam przy stole z notesem.

*

W kolejną środę wysłałam liściki do dziewcząt, odwołując nasze spotkanie, bo matka oznajmia, że będziemy mieć gości na herbacie. Domyślam się, co to mogą być za goście, bo już poprzedniego wieczoru Annie wyjmuje do odświeżenia moją najlepszą sukienkę, a przy kąpeli płucze mi włosy w wywarze z ziół, żeby były ładne i miękkie.

Rozpoznaję lorda Barnetta. Tańczyłam z nim ostatnio na balu karnawałowym, podobno zajął tu już raz z wizytą, gdy mnie nie było – zgodnie ze zwyczajem – i uzyskał u rodziców pozwolenie na dalsze odwiedziny. Ma bardzo bladą skórę i zawsze wygląda, jakby dopiero zdrowiał po chorobie; przynajmniej nie używa pomady, chociaż włosy na karku rosną mu prawie pionowo w górę. Matka zabawia go rozmową o pogodzie, a ja nudzę się nieprzytomnie i żeby zabić czas, układam w myślach kolejną przygodę. Patrę spod rzęs na lorda, próbuję zapamiętać, jak wygląda, żeby móc go później opisać. Może zrobię z niego złoczyńcę.

– Pani matka twierdzi, że uwielbia paniienka książki. – Chyba uznał to spojrzenie za przejaw zainteresowania.

Pyta, jaka książka ostatnio mnie zaciekawiała, a ja, zgodnie z prawdą, wymieniam tytuł podręcznika brata. Jeśli go to zniechęci, to trudno, przynajmniej oszczędzę wszystkim fatygi. Słyszac tytuł, jest wyraźnie zdziwiony, ale przynajmniej się nie krzywi.

– Jeśli wolno mi spytać: jakież to zagadnienie panienka rozważa?

– Blaise Pascal opisał ciekawy problem – odpowiadam, starając się nie spoglądać na matkę. Pascal nie pisał wprawdzie nic takiego, ale nie chcę, by pomyślała, że sama na to wpadłam. – Załóżmy, że trzymamy w ręku kość, którą podejrzewamy o to, że jest źle wyważona. Jak możemy się upewnić?

– Hmmmm. Przede wszystkim należałoby nią wykonać bardzo wiele rzutów.

– W takim razie załóżmy, że wykonaliśmy ich sto dwadzieścia, co powinno dać po dwadzieścia wystąpień na każdą wartość. Oczywiście, nie uzyskaliśmy dokładnie tyle, ale załóżmy, że jedna wartość pojawiała się częściej od innych. Jak powinniśmy postąpić dalej?

– Jeśli odkryłbym, że szóstka wypada w połowie rzutów, to nie robiłbym zbyt złożonej analizy, raczej znalazł właściciela kości i poważnie z nim porozmawiał. – Uśmiecha się, jakby cała ta rozmowa go bawiła. – Ale myślę, że analityczna teoria prawdopodobieństwa Simona de Laplace'a byłaby tu przydatna. Jeśli by panienka chciała, chętnie użyję odpowiednich książek.

Może jednak nie przerobię go na złoczyńcę.

*

Na jednej ze świeżo ulepionych kości jedynek wypada mniej więcej o jedną trzecią częściej niż powinna i powtarza się to we wszystkich kolejnych próbach. Za pierwszym razem rzucałam, jak popadło i pewnie podnosiłam kostkę w ten sam sposób, ostatnim wynikiem do góry, co mogło mieć jakiś

wpływ na kolejne rzuty, więc później próbowałam to zrównoważyć, rzucając mocno, żeby kość toczyła się długo. Jeśli jedna liczba wypada za często, wiadomo, że inne muszą wypadać za rzadko; może jedna, może kilka – a może jedynek kradnie od wszystkich po równo. Po porównaniu wyników widzę, że tylko dwójek i czwórek jest wyraźnie za mało; prawie czuję brzęczenie przy skroni. Wiem, że pełna losowość ma to do siebie, że wszystko jest możliwe, niektóre rzeczy są po prostu niezwykle mało prawdopodobne.

Wracam do notatek.

*

Przy okazji odkrywam, że rozmów z moją matką na pewno nie cechuje pełna losowość, bo za każdym razem, gdy próbuję zagadnąć ją o studia, kończą się tak samo: potrząśnięciem głową i odsyłaniem mnie do jakiegos zajęcia. Próbuję jeszcze kilkakrotnie, aż w końcu nie mogę dłużej czekać, bo termin składania podań upływa już za kilka dni. Któregoś wieczoru, gdy matka schodzi po schodach, spiesząc się na spotkanie do broczynne, po prostu wychodzę jej naprzeciw, rozkładam ręce i zastępuję jej drogę. Nie cofam się, nawet gdy podnosi na mnie głos, nie może mnie odepchnąć, bo jestem wyższa i silniejsza, ojca nie ma w domu, a nikt ze służących się nie odważy, i w końcu nie ma wyjścia, musi mi odpowiedzieć na zadane pytanie.

– Uspokój się, dziecko! Co się z tobą dzieje? – Zaciska ręce na parasolce. – To prawda, że unikałam tej rozmowy, miałam nadzieję, że z czasem sama się opamiętasz. Ten pomysł z pójściem do Girton to zupełny nonsens, nie mam pojęcia, skąd ci to przyszło do głowy.

– W takim razie czemu to dostałam? – Unoszę ręce i przyciskam do skroni, przesuwam je w dół, wciąż przyciskając, aż palce zostawiają czerwone smugi. – Jeśli nie

pozwolicie mi się uczyć, to po co to było? Po co to wszystko?!

Matka potrząsa głową, jak zawsze gdy chce mi dać do zrozumienia, że zachowuję się dziecinnie.

– Lord Barnett zasugerował nam, że jego intencje wobec ciebie są jak najbardziej poważne. Myślę, że w ciągu najbliższych dni możemy się spodziewać propozycji.

– Skąd...

– To prawda, większość dżentelmenów nie ceni u panien zainteresowania nauką, ale od dobrze poinformowanych osób dowiedzieliśmy się, że lord Barnett wyznaje w tej sprawie nietypowy pogląd. Jego rodzina ma w Indiach duże plantacje herbaty, podobno zamierza je nadzorować osobiście i chciałby mieć przy boku kogoś, z kim będzie mógł porozmawiać na interesujące go tematy. Koszta zabiegu były wysokie, więc zdecydowaliśmy się na pewne ryzyko, ale jak widać, augmentacja twoich zdolności była dobrym pomysłem. – Ujmuję moją twarz w dłonie, przytrzymuje prosto, zmuszając, żebym spojrzała na nią. – W ten sposób pomożesz rodzinie i zyskasz małżonka, z którym dzielisz wspólne pasje. Doprawdy, nie rozumiem tej alteracji. – Poklepuje mnie po policzku. – To wielka szansa, kochanie.

Czuję, że powietrze wokół mojej głowy jest gęste, aż prawie trzeszczy.

– Czy jak już się pobierzemy, on pozwoli mi studiować?

Mrugnięcie powiek, drgnienie twarzy. Matka bardzo chce odpowiedzieć, że tak.

– To... nie jest całkiem niemożliwe.

*

Dziewczęta obracają nowe kości w rękach – ciekawie i ostrożnie, jakby oglądały nowe zabawki.

– Dlaczego mamy używać tych?

– Bo to może być ostatnie spotkanie na bardzo długo. Chcę, żeby się liczyło.

Marietta unosi wzrok i widzę kolejne pytanie. Wskazuję liczbę na kartce.

– Tyle w najlepszym przypadku wynosisi twoja siła. Wiadomo, że nie zawsze jesteś w stanie uderzyć tak samo mocno, czasem powinien ci się noga. Tu – pokazuję zakrytą kartkę – mam zapisane, jak silny jest twój przeciwnik. Możesz rzucić dwoma kostkami i wybrać większy wynik, ale wtedy przeciwnik może zrobić ci to samo. Jeśli wyrzucisz największą możliwą wartość, możesz uderzyć jeszcze raz.

– A skąd wiadomo, że w ogóle zdołamy ich trafić? – pyta nagle Inge. – Może ciągle będziemy rzucać jedynki? Albo dwójki? Co wtedy?

– Przy dobrze zrobionej kości nie powinno tak być. Na tej – podnoszę kostkę z podłogi – jedynka wypada za często, dlatego jeśli wypadnie ona, Marietta rzuci jeszcze zwykłą szóstką. – Jest ze sklepu, więc powinna być dobra, poza tym sprawdziłam je wszystkie. – Jeśli wypadnie piątka, zmieniamy poprzedni wynik na dwójkę, jeśli szóstkę, na czwórkę, a przy wszystkich innych zostawiamy, jak było. Opracowałam taki sposób dla każdej. Wiem, kiedy tak mówię, pewnie wydaje się to skomplikowane, ale zobaczcie, jak już zaczniemy, pójdzie szybko.

Inge patrzy na mnie długo.

– Powinni cię wysłać na te studia.

*

Nadzieja, że Mordred o nich zapomni, że zostawi je w spokoju, znika w środku nocy, gdy światło pochodni rozświetla wnętrze ich namiotu.

Zostają wrzucone do lochu i tylko swojej sławie zawdzięczają to, że książę nie postanawia stracić ich od razu. Są bohaterami, ludzie wymieniają ich imiona w pieśniach, więc ktoś z dworu wpada na pomysł, że władca powinien upokorzyć buntowników, pokonując ich przywódcę w pojedynku.

(Dziewczęta tylko chichoczą.).

Opisuję im plac turniejowy, kurz wirujący w południowym słońcu, łopot barwnych chorągwi, gwar, westchnienia dam i zmarzniętych, poważny wzrok księżniczki odprowadzający Inge, która wolno zajmuje swoją pozycję. Mordred wychodzi jej naprzeciw, trzymając miecz i kopię.

Ostrza broni zwierają się ze szczękiem, kilka ciosów chybia, ale większość nie. Mordred jest groźnym przeciwnikiem, powinien taki być; po każdej rundzie opisuję Inge jej ból i rosnące zmęczenie, ale dodaję, że Mordred także unosi miecz jakby niżej, biorąc zamach, potyka się, odsłaniając bok, a wtedy Inge patrzy wprost na mnie, i wiem, że zrozumiała, widzi, że koniec jest w zasięgu ręki, że jeszcze jedna wymiana ciosów i ktoś tego nie przeżyje. Bierze swoją kość, a potem drugą ręką sięga po kość Marietty i ciska je obie z całej siły.

Pierwsza przetacza się po podłodze, obją się o moje kolano i nieruchomieje, trójką do góry. Druga przetacza się między na nami i znika pod stołem.

Betsy, która siedzi najbliżej, zrywa się z kolan i wpęła pod blat, ale już po chwili wszystkie przepychamy się obok, żeby też zobaczyć. Kość leży daleko, w półmroku, pod samą ścianą, ale i tak widać, jak zakończy się ta walka.

Wypadła dwudziestka.

Inge podrywa rękę do ust. Przez chwilę nic nie mówi i już mam jej przypomnieć, co to oznacza dla wyniku walki, ale wtedy ona nagle się odwraca i rzuca mi się na szyję, aż tracę równowagę i obie przewracamy się na dywan, chichocząc jak szalone. Marietta kręci głową, ale nawet ona się uśmiecha.

*

– Chciałabym, żeby w życiu też tak było – mówię później, w nocy, gdy stoimy przy oknie, wpatrzone w ciemny ogród, Inge

boso, ja z rozpuszczonymi włosami. Pozostałe dziewczęta wróciły do domów, ale ona poprosiła moich rodziców, żeby pozwolili jej przemocować.

– Jak?

– Tak, jak w tej opowieści. Żebyśmy miały szansę, jak jeden do dwudziestu, że uda nam się absolutnie wszystko.

Inge patrzy na mnie uważnie, w świetle księżycy jej oczy są wielkie błyszczące, i czuję, że coś się dzisiaj zmieniło i że to – teraz – też się liczy, jakby pomiędzy światami otworzyły się jakieś drzwi i nagle zrobiło się dokładnie tak jak w naszej historii.

– Może mamy?

*

Trawa jest wilgotna i moczy mi spódnicę po kolana. Rączka torby podróżnej wbija się w dłoń i czuję to coraz bardziej, ale idziemy szybko, prawie biegiem, choć niebo wciąż jest ciemne. Gdy się zorientują, że nas nie ma, będziemy już w pociągu. Rozmawialiśmy o tym, przegadałyśmy wszystko w trakcie tych godzin, które pozostały do świtu, oceniliśmy swoje szanse. Ja mogę dawać lekcje, Inge świetnie rysuje, nawet bez augmentów. Podobno przestają działać, jeśli nie magnetyzuje się ich regularnie, ale ja już teraz wiem, jak rozwiązać sporo problemów i przecież tego nie zapomnę. Wyciągam rękę i czuję, że Inge niesie coś w dłoni – szczerśliwą kość, na której wypadła dwudziestka.

Chwytam ją za rękę i trzymam mocno.

■ **KRYSTYNA CHODOROWSKA.** W TYGODNIU SPECJALISTKA OD PRZETWARZANIA DANYCH, W WEEKENDY PRZYWÓDCZYNI BARBARZYŃSKIEGO KLANU. AUTORKA OPOWIADAŃ I POWIEŚCI, NOMINOWANA DO NAGRODY JANUSZA A. ZAJDLA 2014, ZABITA PRZEZ PETERA WATTSA W POWIEŚCI „ECHO PRAKSA”. W TYM ROKU WYDAŁA SWOJĄ DEBIUTANCKĄ POWIEŚĆ „TRISKEL. GWARDIA”.

Kobieta w czerwonej sukience

Barbara Mikulska

Nikt nie żałuje podstarzałych prostytutek. Wrastają w swoje miejsca i nie budzą specjalnych emocji. Może tylko czasem na czyjejś twarzy pojawi się drwiący uśmiech, wywołany źle ufarbowanymi włosami albo zbyt mocnym makijażem. Oba zabiegi nieudolnie próbują zakamuflować upływ czasu. Siwe włosy przeświecają przez rude, przerzedzone pasma, a pobrużdżonej twarzy nie jest w stanie wygładzić nawet gruba warstwa pudru.

Gracjana stała w załomie muru, tak by przynajmniej częściowo chronić się przed zimnymi podmuchami. Migotliwe błyski rozkołysanej latarni oświetlały ją, jakby przez chwilę znalazła się na scenie, a potem znów litościwie ukrywały w mroku.

Mocniejszy poryw wiatru przyniósł słony smak morza. Kobieta oblizała wargi, zwyczajnie, jak ktoś, kto ubrudził usta, jedząc zbyt zachłannie. Kiedyś nawet taki

prozaiczny gest wywoływał pełne zachwyty spojrzenia i pomruki. Teraz nie było niktogo, kto zechciałby podziwiać spektakl. Robiło się coraz zimniej i coraz mniejsze stawały się szanse, że kogoś jeszcze upoluje.

Zadrzała z chłodu i ciaśniej otuliła się cienką marynarką. Złote obszywki dawno wyblakły, nie przyciągały już niczyich oczu. „Tak, jak ja”, pomyślała z goryczą. Trzeba iść do domu. Pozapinała wszystkie guziki w bluzce, zarzuciła na ramiona szal wydobyty z torby, obciągnęła spódniczkę, która sięgnęła ledwie połowy uda i ruszyła, uważnie stawiając stopy w butach na zbyt wysokich obcasach. Marzyła, by to wszystko z siebie zrzucić, zmyć makijaż i, zawinięta w ciepły, frotowy szlafrok, zasiąść w fotelu ze szklanką gorącej herbaty i pooglądać cudze, szczęśliwe życie. Co z tego, że na ekranie telewizora. Innej szansy nigdy nie dostała.

– Ile?

Głos wyrwał ją z zamyślenia. Spojrzała w bok i dostrzegła mężczyznę.

– Ile?

Wymieniła cenę i wskazała zaciszną bramę po drugiej stronie ulicy. Mężczyzna skinął głową.

– Dam podwójną stawkę, ale pójdziemy do ciebie. Nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył. A poza tym jest zimno i mokro.

Gracjana zaważała się chwilę. Rzadko sprowadzała mężczyzn do domu. To był jej azyl; po każdej takiej wizycie zmieniała pościel i szorowała łazienkę. Lecz dziś nie mogła wybrzydząć. Ten gość był jedynym klientem. Wzruszyła lekko ramionami i machnęła ręką, wskazując kierunek.

Poszła w milczeniu. Bo o czym tu rozmawiać? Że za chwilę facet upuści sobie pary? Może trochę pofolguje wyobraźni? Nie, nie z nią. Do tego potrzeba młodszej, ładniejszej, która wystudionowymi jękami podreperowałaby mu ego.

Otaksowała mężczyznę. Dobrze i drogo ubrany, bez ostentacji. Stać go na *call girl*. Dlaczego wybrał ją? Dreszcz przebiegł jej po plecach. Może to jakiś zbok? Po starych kurwach nikt nie płacze. Miała ochotę się wycofać, jednak pieniądze...

– Postaraj się być cicho – powiedziała, przekręcając klucz w zamku. – W pokoju obok śpi mój opiekun. Nie chciałabym go zbudzić, bo wtedy jest zły i nie panuje nad sobą.

To nieprawda – to zabezpieczenie. Marne, ale lepsze takie niż żadne. Światło w przedpokoju wydobyło z ciemności powątpiewający uśmiech na twarzy nieznanego. Szybko wprowadziła go do sypialni.

– Daj kieliszki. – Mężczyzna wyciągnął z kieszeni wino. Białe, półsłodkie, jak Gracjana wyczytała z etykiетки. Akurat takie, jakie lubiła.

Z kuchni przyniosła szkło i podała mu.

Zastanowiła się, co jeszcze mógł ukryć w przepastnych kieszeniach, skoro nie zauważyła całkiem pękatej butelki.

Przez chwilę raczyli się trunkiem. Napój przyjemnie sphywał do żołądka i leciutko przyspieszał bieg krwi. Leciutko, bo Gracjana przywykła do mocniejszych alkoholi.

– Dobrze. – Odstawiła wysoki kieliszek na szafkę nocną. Wprawnym ruchem sięgnęła do krawata, spróbowała go poluzować.

– Zostaw, nie trzeba. – Odtrzącił rękę.

– Chcesz się kochać w pełnym rynsztunku? – Gracjana usiłowała dowcipkować, ale strach skreślił jej żołądek w supeł.

– Nie, nie chcę seksu. – Klient ostawił ledwie napoczęty kieliszek. – Mam dla ciebie propozycję.

– Zglupiałeś czy naćpałeś się czegoś? – Gracjana odeszła aż pod okno, zwiększając dystans do klienta.

– Ani jedno, ani drugie.

– Jeśli masz takie możliwości, to na cholerę jestem ci potrzebna?

Mężczyzna uśmiechnął się leciutko. Wokół stalowych oczu powstała siateczka zmarszczek, ale usta wykrzywił gorzki grymas.

– Nie zrozumiesz tego – stwierdził i wyjął z kieszeni papierosy. Spojrzał pytająco, a kiedy doczekał się przyzwalającego skinienia, poczęstował również Gracjanę.

– Spróbuj mi wyjaśnić – powiedziała, wydmuchując dym. – Takie, jak ja dużo rozumieją.

Chyba poczuł się nieco głupio, bo poruszył się niespokojnie na krześle i opuścił wzrok.

– Jak masz na imię?

– Gracjana.

– Ale jak naprawdę masz na imię?

– Naprawdę tak mam na imię. Mamusia chciała, żeby było oryginalnie. Ale możesz

do mnie mówić Janka. A ty?

– Grzesiek.

Już myślała, że nie wróćą do poprzedniego tematu, jednak Grzegorz zdusił niedopałek w popielniczce, sięgnął po kieliszek i, gładząc zmysłowo nóżkę, powiedział:

– Chcę, żeby naprawdę mnie pokochała. Żeby mnie wybrała.

Nie był młodzieniaszkiem. Gracjana przyjrzała mu się dokładnie i uznała, że jest po trzydziestce. Cóż, w mężczyznach zawsze zostaje coś z dziecka.

– Jest młoda, piękna – wyznał z zawstyżeniem. – Jest tą kobietą, której szukałem przez całe życie.

Janka patrzyła na niego z uwagą. Naprawdę wierzył w to, co mówił. Miała ochotę zapytać, czy jest równie mądra, czuła i dojrzała, ale nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Stare kurwy są mądre życiową mądrością, a on nie był gotowy, żeby jej wysłuchać. Widziała, jak rozjaśnia mu się wzrok, jak kąciki ust unoszą się, kiedy opowiada o Magdzie. I jeszcze to mimowolne przeczesywanie włosów palcami. A co będzie, gdy ona straci urok młodości? O czym będą rozmawiać przy porannej kawie albo wieczorem przed snem? Co będzie, gdy czas pozbawi ją atutów, które tak zauroczyły go teraz?

– No dobrze – przerwała zachwyty – a co ja mam do tego?

– Ty masz odciągnąć uwagę tego drugiego i sprawić, żeby Magda stała się o mnie zazdrosna.

– Jak? Spójrz na mnie! – Podeszła tak blisko, że niemal dotykali się twarzami. Poczowała delikatny zapach wody po goleniu. – Nie widzisz?

Nie zaprzeczył; patrzył jej prosto w oczy.

– Przecież już wyjaśniłem: potrafię to zmienić!

Gracjana zaczęła się śmiać. Głośno i ordynarnie, a potem sięgnęła po butelkę,

napełniła kieliszek i wychyliła go dwoma długimi łykami.

– Gdybym miała cztery lata, uwierzyłabym – powiedziała i odwróciła się, a potem zaczęła rozpinąć bluzkę. – Dobra, dość tych głupot, jakoś muszę zarobić na czynsz.

– Zapłacę ci i bez tego. Proszę...

Nie słyszała, kiedy wstał. Schwycił ją za rękę i odwrócił do siebie. Wskazującym palcem uniósł jej podbródek i bardzo delikatnie musnął wargami usta. Tego się nie spodziewała. W oczach Gracjany zakręciły się łzy.

– Dlaczego to robisz? – Szarpnęła się i uwolniła od dotyku mężczyzny.

– Muszę ją mieć, rozumiesz?

Skinęła, choć nie o to pytała i przełknęła żal zatykający gardło.

– Dobrze. Teraz idź sobie. Przyjdź jutro rano. I przynieś kasę.

Specjalnie nie nałożyła makijażu. Umyła się, założyła dżinsy i koszulę w kratkę, a włosy spięła w luźny koczek, ale nie umalowała się. Chciała mu pokazać, kogo wybrała na pomocnika.

Patrzyła w lustro z dezaprobatą. Przyłożyła dłonie do policzków i naciągnęła skórę. Twarz przybrała groteskowy wyraz. Miała ochotę rozbić szklaną taflę, wiedziała jednak, że nic to nie zmieni: zmarszczki nie znikną. Tak samo jak ten szlam w duszy.

Ciche pukanie przerwało przykre myśli. Uchyliła drzwi i uważnie wpatrzyła się w Grzegorza. Pragnęła zobaczyć rozczarowanie, szok, rezygnację. Zamiast tego ujrzała stalowe oczy zmrużone w leciutkim uśmiechu.

– Gotowa na nowe życie?

Chciała odpowiedzieć coś słodko-głupiego, coś, co byłoby urocze w ustach młodej dziewczyny i co raptem przyszło jej do głowy, gdy patrzyła na tego przystojnego mężczyznę, ale zamiast tego otworzyła szerzej

drzwi i wpuściła go do domu.

Znowu usiedli przy stole i zapalili. Potem Grzegorz położył na blacie niedużą, czarną walizeczkę, otworzył ją i wyjął małą butelkę i strzykawkę. Gracjana zbłądła. Pomyślała, że może to ostatnie chwile jej życia. Spotkała nawiedzonego szaleńca i jak ta głupia zgodziła się na jakiś kretyński eksperyment.

Mężczyzna wyczuł jej wahanie. Na stole pojawił się plik banknotów. Sporo tego było.

– Przeliczysz?

– Nie ma takiej potrzeby. – Uśmiechnęła się z przekąsem. – Jeśli mnie zabijesz, to nic mi po tej kasie. Jeśli się uda, musimy dalej razem działać, więc oszukiwanie nie byłoby najrozsądniejsze.

Wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa i przypaliła sobie. W świetle poranka opowieści Grzegorza wypadały jeszcze mniej przekonująco. Stalowe oczy nadal były pociągające, ale czy aż tak bardzo, żeby poświęcać dla nich życie? Wzruszyła ramionami. Jakież to życie? Z drugiej strony, czym ryzykowała? Umrze? Cóż, trudno, każdego to czeka. Ale czy ona w ogóle wierzy w to jego bajdurzenie? Zawsze wymyślała historie i snuła marzenia, tylko że one nigdy się nie spełniały. Teraz przynajmniej miała realną forszę.

– Zaczekaj – poprosiła. – Wyjaśnij mi, dlaczego ja?

Odpowiedział natychmiast, jakby spodziewał się tego pytania.

– Uroda i doświadczenie oraz profesjonalizm.

Skinęła głową i wyciągnęła rękę. Podwinęła jej rękaw koszuli, opuszkami wodził po skórze, delikatnie klepał w poszukiwaniu żyły. Jego dotyk był miły i ekscytujący.

– Będzie bolało.

Nabrał płynu do strzykawki, usunął powietrze i wreszcie zbliżył igłę do przegubu.

Samo ukłucie nie było bolesne, gorzej zrobiło się później. Miała wrażenie, jakby wpompowywał jej roztopiony ołów. Zaciśnęła zęby, żeby nie krzyknąć. Trzymał ją za rękę i cały czas coś mówił. Jak przez mgłę docierały do niej słowa.

– Będziesz żyła tyle, ile ci przeznaczono, ale już zawsze będziesz młoda. Tę formułę wymyśliła jakaś moja praprababka. Zanim spłoneęła na stosie, zdążyła ją przekazać córce.

– Próbowaleś? – wysyczała przez zaciśnięte zęby. Ból rozsadał ją od środka.

– To działa tylko na kobiety – wyjaśnił spokojnie. – Jeszcze chwila, niedługo przestaniesz boleć.

Chyba zemdląca, bo kiedy znów otworzyła oczy, leżała na łóżku przykryta po brodzie kołdrą. Za oknem zapadł zmierzch. Deszcz stukał miarowo o parapet. Było jej dobrze i ciepło. Obok siedział Grzegorz i wpatrywał się w nią z uśmiechem.

– Jak się czujesz?

– Jakby przejechał po mnie pociąg. Co to było?

Pominął jej pytanie milczeniem. Zamiast tego podał lusterko.

– Noż kurwa, ja pier... – Wciągnęła powietrze tak mocno, że aż zakręciło się jej w głowie. – Jezusie najświętszy, to niemożliwe!

Zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki, jakby sądziła, że Grzegorz podał jej jakieś spreparowane lusterko. Z niewielkiego pomieszczenia wrzaski, krzyki i jęki poniosły się echem po całym mieszkaniu.

– Możesz być ciszej? – mitygował ją, zaglądając do środka. – Jeszcze ktoś pomyśli, że cię morduję.

Kobieta zacisnęła rękę w pięść i gryzła palce. Po dłuższej chwili udało się jej opanować. Duży udział miał w tym kieliszek



wódki, którą zaserwował Grzesiek.

– Posłuchaj, przecież na tym można zbić niewiarygodny majątek! – Janka oglądała z przejęciem dłonie.

– Nie.

– Co nie? – Kobieta nie rozumiała odpowiedzi.

– Nie można na tym zbić majątku.

– Jak to nie można? Każda baba zapłaci ci równowartość Australii, żeby takie coś dostać.

– To niemożliwe. Preparat jest obłożony klątwą; kto będzie chciał go sprzedać lub kupić, zginie w męczarniach.

– No co ty za głupoty opowiadasz? – Kobieta postukała się w czoło. – Jaka klątwa?

Grzegorz westchnął ciężko.

– Doświadczyłaś magicznego działania mikstury, a nie wierzysz w klątwę?

Gracjana zaniemówiła na chwilę, ale zaraz odetchnęła głęboko.

– To magia? – upewniła się jeszcze. – Twoja praprababka była czarownicą?

– Tak. Tak sądzę. Czarownicą albo kosmitką. Nie mam pojęcia. – Grzegorz rozłożył bezradnie ręce. – Może to nie magia, tylko jakaś nieznana technologia?

Janka spojrzała na niego uważnie, a potem powoli skinęła głową, jakby potwierdzała, że źródło tego cudu jest absolutnie nieistotne. Najważniejsze, że znów stała się młoda.

– Nie, to się nie nadaje. Zbyt wyzywające.

Gracjana z żalem odłożyła czerwoną sukienkę. Materiał był mięciutki, przelewał się delikatnymi falami przy każdym ruchu. Wyobraziła sobie, jak pięknie wyglądałaby w tej kreacji. Opływałaby jej sylwetkę niczym krwawa mgła i odsłaniała opalone plecy. Widziała te czarne loczki, które muskałyby gładką szyję tarmoszone podmuchami letniego zefirka. Nie byłoby mężczyzny, który nie chciałby, żeby jego usta zastąpiły wiatr.

Kobieta poczuła dreszczyk, wiedziała, u kogo pragnęła wzbudzać pożądanie. Ale on patrzył krytycznie na wybieraną przez nią garderobę i z leciutką drwiną na ustach odwieszał kolejne sztuki na miejsce.

Założyła jasną sukienkę w kwiaty; gołe ramiona przyciągały wzrok. Jeszcze sandałki na niezbyt wysokim obcasie i płócienna torba.

– A to? – Okręciła się przed lustrem tak szybko, że spódniczka rozłożyła się jak kiełich malwy, ukazując szczupłe uda.

– Bardzo dobrze. – Grzesiek odwrócił wzrok. – Teraz fryzjer.

– Zwariowałeś? – Dotknęła upiętych w kok włosów. – Nie dam ich obciąć!

– Nie będziemy obcinać. Fryzjer zrobi z nimi trochę porządku, znaczy... no, będziesz miała jakąś fryzurę.

– A wieczorem pójdziemy do klubu? Często tam bywam, ma zejście na plażę.

Magda była ładna, ale nie powalała na kolana. Janka знаła ten typ – świetnie nadałaby się do profesji, którą sama uprawiała. Pewna siebie, beztroška, łaśa na zachwyty i kasę. Do tego sprytna. Gdy nie rozumiała, o czym rozmawiają, milkła i tylko leciutko kiwała głową. Obaj panowie wpatrywali się w nią jak w najnowszy model porsche – zachłannie i z zachwytem. Gracjana zupełnie nie mogła tego zrozumieć. Feromony?

– Janka, muszę do toalety. Idziesz? – Magda pociągnęła koleżankę za łokieć. – Tylko przypudrujemy noski i zaraz wracamy.

Gracjana wykrzywiła niezauważalnie usta. Tekst jak z melodramatu sprzed pół wieku.

– Pospieszcie się – powiedział Maciek, towarzysz Magdy. – Zaraz zacznie się występ.

– Mam gdzieś to rzępolenie – wyznała po cichu dziewczyna, kiedy wyszły już z sali. – Lepiej puściliby szafę, przynajmniej można

potaćńczyć.

Kiedy wróciły, w lokalu zmienił się nastrój. Na stolikach paliły się jedynie świeczki, a scenę oświetlał punktowo jeden reflektor, wyławiając z mroku krzesło i dwa mikrofony. Po paru chwilach oczekiwania pojawili się chłopak z gitarą i dziewczyna z fletem.

Ich występ był naprawdę ekscytujący. Głęboki męski głos rozpraszały podszepty ciepłego altu dziewczyny, instrumenty raz zgodnie tkwały melodię, raz szarpały i rwały temat. Równie ekscytujące okazało się dla Gracjany obserwowanie towarzyszy. Magda była ewidentnie znudzona, sączyła wino, rozglądając się po sali. Maciek wydawał się bardziej zainteresowany zgrabnymi nogami artystki niż czarującym głosem. Jedynie Grzegorz okazał się podatny na muzykę. Opuścił nieco głowę, utkwiał oczy w pelgającym płomyku świecy, a w palcach gniótł machinalnie kawałek serwetki. Kiedy młodzi artyści zakończyli ostatni utwór, wyglądał, jakby obudził się ze snu. Potem skierował wzrok na Gracjanę i zamarł. Przyćmione światło łagodziło twardość jej spojrzenia i ścierało gorycz z kącików ust. Ona też jeszcze nie całkiem wyszła z transu wywołanego muzyką. Uśmiechała się leciutko, dziewczęco, jakby nagle ubyło jej doświadczeń.

Nastrój nie trwał długo. Magda z ulgą poderwała się od stolika, podbiegła do szafy grającej i wrzuciła żeton. Ostre dźwięki mechanicznej muzyki skutecznie przepędziły zadumę. Dziewczyna wystrzeliła na parkiet i głośnym śmiechem przyciągnęła uwagę siedzących gości. Wirowała i wabiła. Jak samica, która poluje na najlepszego samca w stadzie. Refleksyjny czar występującej przed chwilą pary zniknął. Grzegorz również zwrócił roziskrzone spojrzenie na Magdę.

– Nie gap się tak! – Gracjana nakryła jego dłoń własną. – Przecież jej dokładnie o to chodzi. Patrz na mnie!

Posłusznie skierował na nią wzrok.

– Uśmiechnij się i pochyl trochę w moją stronę! – Dyrygowała nim, jakby był nastolatkiem. – Mów coś i patrz na mnie cały czas. Zobaczysz zaraz, jak to funkcjonuje.

Pochylili się ku sobie, a sytuacja wywołała u mężczyzny nieco sztuczny uśmiech. Na zewnątrz jednak wyglądało to zupełnie inaczej – świadczyło raczej o intymności.

– To działa. – Gracjana musnęła policzek Grzegorza opuszkami. – Cały czas na nas zerka. I powiedziała coś niemiłego Maćkowi. Patrz, wraca do nas z kwaśną miną.

Chłopak odsunął z gniewem krzesło, nalał sobie wina i wypił jednym haustem. Magda nie przejęła się tym specjalnie. Już otoczyło ją kilku mężczyzn, przed którymi prezentowała taniec godowy. Młode, zgrabne ciało przyciągało spojrzenia. Gracjana przesunęła się tak, by zasłaniać ten widok.

– Chodź, teraz my zatańczymy! – szepnęła. Ktoś zmienił muzykę, sączyła się wolno, zmysłowo.

Trzymając się za ręce, wyszli na parkiet. Grzesiek zaborczo objął kobietę w pasie i mocno przytulił. Oparła głowę o jego ramię. Pozwoliła, by chłonął zapach jej ciała zmieszany z perfumami, które sam dla niej wybrał. Zamknął dłoń Gracjany w uścisku, a potem – zanim zaczęli taniec – ucałował końce palców. Kobieta poczuła dreszcz. Jaka szkoda, że to tylko gra, że wszystko jest na pokaz... Przesunęła ręką po jego karku, błędziła opuszkami po szyi, wplątywała palce we włosy, gładziła skórę tuż za uchem. Reagował na pieszczoty, czuła na skroni jego przyspieszony oddech.

– Koniec tanga-przytulanga! Idziemy na plażę!

Głos Magdy nieprzyjemnie wdarł się w ich intymność. Odsunęli się od siebie z niepewnymi uśmiechami, jakby każde zastanawiało się, co to było.

Zbiegli po drewnianych schodach i rozłożyli się na piasku. Zapalili papierosy, znalazła się również butelka wódki. Wokół nich siedziało sporo młodych ludzi. Pili, całowali się, ktoś brzdąkał na gitarze.

– Idę się kąpać! Kto ze mną?! – krzyknęła Magda i zaczęła ściągać sukienkę.

Maciek usiłował ją powstrzymać, ale wywinęła się i w ciągu kilku sekund stała niemal naga, tylko w przezroczystych majtkach. Spojrzenia mężczyzn pożerały ją, a ona, nie czekając na niczyją reakcję, ruszyła w kierunku morza. Pobiegła, rozbryzgując wodę, ale zatrzymała się po kilku krokach, pozwalając, by fale pieściły jej uda. Odwróciła się i pomachała przyzywająco. Siedzieli na piasku, a Grzesiek otoczył ramieniem swoją Jankę.

– O tak, dobrze robisz! – pochwaliła go. – Będzie wściekła, że się nią nie interesujesz, że nie odpowiedziałeś na zew.

Morze było zimne. Po paru minutach Magda zmarzła i przetrzeźwiała.

– Wraca – stwierdziła Gracjana. – Patrzy na nas.

Położyła się i przyciągnęła Grzegorza. W górze skrzyły się gwiazdy. Kiedy pochylił się nad nią, zasłonił ten widok, ale nie protestowała. Jego usta były ciepłe i miękkie. Język nieśmiało dotykał jej warg, jakby obawiał się penetrować głębiej. Miała ochotę przycisnąć Grzeška mocniej, wessać go. Zamiast tego leżała spokojnie. Już nie pamiętała, kiedy ostatnio tak się całowała. Chyba jako nastolatka. Z klientami nie pozwalała sobie na takie ekscesy.

– Przestańcie się lizać! – Magda nie umiała opanować złości. – Zimno mi, idziemy do domu!

– To idźcie! – Grzesiek przekręcił się na bok, znowu odsłaniając przed Gracjaną niebo. – My zostajemy!

Siedzieli długo. Bez natarczywych spojrzeń Magdy czuli się przez jakiś czas

niepewnie. Potem zauroczył ich szum morza, szept wiatru, miłośność przesypanywego między palcami piasku. Rozmawiali jak dwoje przyjaciół, spokojnie, prawdziwie, bez pośpiechu i bez przymusu.

Rozstali się, gdy świtało.

Każdy kolejny dzień był jednocześnie koszmarny i piękny. Gracjana już dawno przestała udawać, że to tylko gra. Kradła chwile, kradła dotyk i czułość do bólu świadoma, że wkrótce się to skończy. Nienawidziła Magdy, bo kiedy jej nie było, zachowywali z Grzegorzem przyjazną neutralność. Nienawidziła dziewczyny, gdy się pojawiała, bo wiedziała, że cała ta tkliwość jest nie dla niej. Nie potrafiła jednak się jej wyrzec.

Ale wycofała się w cień.

Tego dnia padał deszcz. Bębnił o szyby i parapet jak werble zapowiadające występ akrobaty. Spotkali się w domu Grzeška, rozmawiali we czwórkę, sącząc wino. A potem Magda spytała, czy pamiętają, jak kiedyś grało się w butelkę.

Gracjana znów była profesjonalistką. Zabrała Maćka do drugiego pokoju, pozwalając, by Grzegorz nacieszył się swoją zdobyczą. Patrzył za nią, ale nie powiedział słowa, nie zatrzymał jej.

To nic, że żal dusił. Nie ma czego żałować, myślała, rozbierając chłopaka. Nie ma czego żałować, bo przecież między nimi nic się nie zdarzyło. Wypełniła swoje zadanie.

– Janka? Ale przecież...

– Zamknij się, Maciek! – uciszyła chłopaka. Wydawał się wystarczająco pijany, żeby było mu wszystko jedno.

Czego oczekiwała? Przecież pracowała jako dziwka. Takich się nie kocha, takim się płaci. A ona dostała swoją zapłatę akonto. Teraz trzeba się wywiązać z umowy.

Kupiła tę czerwoną sukienkę. Na złość

Grzegorzowi. Znowu mieli się spotkać na plaży. Będą palili ogniska, pili wino, a potem Magda z Grzeskiem będą się kochać pod gołym niebem. A ona w swojej odlotowej sukience będzie się cieszyła, że mężczyźni pożerają ją wzrokiem. Tylko że radość będzie niepełna, bo cóż jej po urodzie i młodości, skoro nie może ich ofiarować temu najbardziej pożądanemu?

Zabawa trwała już od jakiegoś czasu. Alkohol lał się strumieniami, w młodych ciałach wrzała krew. Gracjana nie żałowała sobie wina. W pewnym momencie spostrzegła, że z ich paczki tylko Grzesiek przy niej został.

– Gdzie Magda? – spytała.

Stał bezradny, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Patrzył na Jankę z żalem i smutkiem.

– Poszła... chyba tam!

Gracjana zdjęła sandały, chwyciła je i ruszyła we wskazanym kierunku.

– Nie idź! Nie trzeba!

– Trzeba – odpowiedziała twardo. – Była umowa, prawda?

– To już nieważne – wyszeptał, ale go nie słyszała, bo pędziła w stronę, skąd dobiegał śmiech dziewczyny.

Pośród fragmentów starego falochronu płonęło ognisko. Cienie rzucane przez wystające metalowe pręty gięły się w blasku płomieni i pełzały po pokruszonym betonie niczym rozwścieczone węże. Nieco dalej świeciły latarnie, ustawione jak w magicznym kręgu. Magda tańczyła boso na piasku, blask płomieni oświetlał jej twarz. Oczy błyszczały nienaturalnie. Wirowała, zrzucając z siebie ubranie. Zgromadzeni wokół mężczyźni nagradzali jej odwagę oklaskami.

– Magda!

Nie zwróciła uwagi na krzyk, podnieco-
na aplauzem i własną brawurą.

– Przestań! – Gracjana minęła krąg latarni i szarpnęła ją za rękę. – Tam czeka

Grzesiek!

– Spadaj! A on, jak chce, niech czeka.

– Nie możesz tak... Zachowujesz się jak dziwka. Chodź!

Magda roześmiała się głośno.

– Obawiasz się, że będę dla ciebie konkurencją? – spytała i nagle spowaźniała.

– Chcesz go? To sobie weź! Mnie już się znudził.

Gracjana stała chwilę oszołomiona. Żał ścisnął jej gardło. Żałowała i Grzeska, i siebie, a nawet trochę tej rozwydrzonej Magdy.

– Chodź – poprosiła cicho. – Chodź, bo potem będziesz żałować!

– Żałować? Czego?

– Roztrwonionego czasu, niewykorzystanych okazji, złych wyborów... – Janka mogła długo wymieniać, jednak wiedziała, że jej słowa nie docierają do dziewczyny. Tak jak nie docierały do niej samej dwadzieścia lat wcześniej.

Opuściła głowę i zrezygnowana ruszyła w stronę falochronu.

– Kim ty jesteś, żeby udzielać mi rad?!

– wrzasnęła za nią wściekła Magda. – Nie masz prawa mnie pouczać! Jesteś zwykłą...

– Dziwka – dopowiedziała Gracjana, odwracając się w stronę dziewczyny. – A ty? Kim ty jesteś?

Rozzłoszczona Magda nie zastanawiała się długo; doskoczyła do Janki i pchnęła ją z całej siły. Wprost na wystające pręty.

Nikt nie oplakuje starych kurew. Nawet one same nie płaczą po sobie.

– Dobrze się spisałam?

– Na medal! Ale teraz nie mów nic. –

Grzegorz kłęczał obok Gracjany, bezskutecznie próbując T-shirtem zatamować krew. Ze strachem patrzył na powiększającą się plamę czerwieni. – Oszczędzaj siły.

Uśmiechnęła się. Jakie siły? Z każdym coraz słabszym uderzeniem serca uciekało z niej życie.

Wokół nich gromadzili się ludzie, ale Gracjana widziała ich jak przez mgłę. Pełne przerażenia okrzyki dochodziły do niej jakby z daleka. Liczył się tylko Grzegorz.

– W jednym miałaś rację: ona nie kochała Maćka – wyszeptala i dotknęła jego dłoni.

– Wiem.

– Ale też się myliłeś. Ciebie również nie kochała.

– Wiem.

– Nie możesz użyć swojej magii, żeby to zatrzymać? – Spojrzała z nadzieją w stalowe oczy.

Pokręcił przecząco głową. W gardle rosła mu gula.

– Tak sądziłam. Ale wiesz, warto było...

Gładził ją po włosach. W świetle ogniska i latarni widział powracające na twarz zmarszczki, głębokie bruzdy wokół ust, matowiejące oczy, przebarwienia na szyi.

– Skończę tu, gdzie zaczynałam.

Grzesiek spojrzał na nią pytająco.

– Pod latarnią, mój drogi, pod latarnią.

Nie była już oszałamiająco piękna. Zamknęła zmęczone życiem oczy i westchnęła głęboko. Powiał wiatr, szarpnął rozkloszowaną spódniczką, a potem udrapował ją wokół szczupłej sylwetki.

– Pięknie wyglądasz w tej czerwonej sukience.

■ **BARBARA MIKULSKA** PISZE O SOBIE: „JESTEM MŁODĄ DUCHEM BABCIĄ NAJWSPANIALSZEGO WNUCZKA NA ŚWIECIE, ALEKSANDRA. JESTEM TEŻ ŻONĄ, MATKĄ I TEŚCIOWĄ. NO CO? KOBIETA MA WIELE FUNKCJI. OCZYWIŚCIE JESTEM TEŻ PISARKĄ.” AUTORKA KSIĄŻKI DLA DZIECI „MYSZKA HANIA” ORAZ POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY „ŁZY BOGA DESZCZU. NOSICIELKA”. W TYM ROKU UKAŻE SIĘ TEŻ DRUGA CZĘŚĆ „ŁZY BOGA DESZCZU. PORWANIE”, ZBIÓR OPOWIADEK KIEROWANY DO MŁODZIEŻY „SMUTNA DZIEWCZYNA” ORAZ POWIEŚĆ FANTASY DLA DOROSŁYCH „FATUM”.

Ogry Afryki Wschodniej

Sofia Samatar

Zebrał Alibhai M. Moosajee z Mombasy

Na polski przełożyła Magdalena Czarnecka

Luty 1907

1. Apul Apul

Ogr-samiec z regionu Wielkich Jezior to melancholijny typ. Żywi się świerszczami, by nadać głosowi słodczy. W pożarze domu zginęły jego wszystkie dzieci. Wrogiem jest mu Zając.

[Moja przewodniczka, kobieta z wycin, znana po prostu jako „Mary”, dodaje, że podczas wietrznych nocy można usłyszeć, jak Apul Apul płacze za utraconym potomstwem. Twierdzi też, że widywano go daleko od jego rodzinnego kraju – nawet na wybrzeżu – a pewien arabski handlarz ranił go, strzelając do niego z blaków Fortu Jesus. Zdarzyło się to podczas jednej z klęsk głodu, w „Roku Gorączki”. Nie tak łatwo byłoby przeliczyć ten rok, w którym – według Mary – padały całe

stada bydła, na kalendarz Naszego Pana, miarę czasu mojego pracodawcy. Dlatego też dołączam ten dopisek na marginesie, drobnym drukiem.

– Alibhai, zawsze czytaj to, co napisane drobnym drukiem – przypomina mój pracodawca, gdy sporządzam dla niego kontrakty. Nie jest w stanie sam ich przeczytać, wzrok ma słaby.

– Popsuło go afrykańskie słońce!

Mary mówi, że rana Apula Apula po kuli jątrzy się niemiłosiernie, jako że jest on uczulony na ołów.]

2. Ba’ati

Zamieszkuje groby okolic starożytnej stolicy krainy Kusz. Ba’ati odznacza się kościstą sylwetką i makabrycznym poczuciem humoru. Uwielbia upodabniać się do istot

ludzkich. Jeśli wasz najlepszy przyjaciel nosi płaszcz i twierdzi, że się przeziębił, to może być to przebrany Ba'ati.

[Mary zjawia się codziennie dokładnie godzinę po wschodzie słońca. Intryguje mnie ta powściągliwa i uczona kobieta. Bawi mnie spisywanie przemyśleń na jej temat na marginesach atlasu, sporządzanego dla mojego pracodawcy. Z pewnością pomyśli on, iż te notatki są sprawką much albo też plamami po moich brudnych rękach (twierdzi, że zawsze jestem brudny). Kiedy piszę te słowa, mam przed oczami Mary, jak pojawia się każdego ranka w swej perkalowej sukni i siada na wywróconej do góry nogami skrzyni.

Nie sądzę, żeby była bardzo stara, chociaż musi być o kilka lat starsza ode mnie (ale ja jestem bardzo młody: „Alibhai, jesteś za młody, żeby chodzić jak staruszek! Głowa do góry! Ha!”). Kiedy opowiada, plecie coś ze szkarłatnej włóczki, chyba jakiś naszyjnik. Wydaje się, że opuszki jej palców zabarwiły się już na stałe.

– Mary, skąd wiesz tyle o ograch?

– Każdy może się dowiedzieć. Wystarczy tylko słuchać.

– Jak masz na nazwisko?

Przestaje pleść i unosi wzrok. Z oczu opada jej zasłona spokoju. Patrzy na mnie. Z rozdrażnieniem? Ostrzeżeniem?

– Już ci powiedziałam – odpowiada. – Jestem Mary. Po prostu Mary.]

3. Degdir

Samica-ogr z Somalilandu. Jej imię oznacza „Długie Ucho”. Opisuje się ją jako postawną i masywną, bardzo szybką biegaczkę. Jedno ucho ma ponoć dłuższe od drugiego – tak długie, że aż ciągnie je po ziemi. Dzięki temu może z bardzo dużej odległości

usłyszeć zbliżających się wrogów. Mieszka w zrujnowanej chacie razem z piękną córką, która chciałaby być zamężna. W końcu zamorduje Degdir, wlewając jej do ucha wrzącą wodę.

[Mój pracodawca jest tak uradowany z udzielonej przez Mary informacji, że zdecydował się obozować w tym miejscu jeszcze przez następny tydzień.

– Alibhai, wydój ją! – mówi, uśmiechając się przy tym lubieżnie. – No? Wyduś z niej, ile się da. Ha! Ha! – Mój pracodawca zawsze krzyczy, jako że przez wystrzał z pistoletu stał się przygłuchy. Wieczorami zaprasza mnie do swojego namiotu. Tam, otoczony przez cztery ściany, dach i podłogę z płótna Willesdena, mogę sobie pozwolić na krótkie wytchnienie od moskitów.

Mój pracodawca siedzi pod lampą zwieszającą się ze środkowego słupka, z wyciągniętymi nogami i skrzyżowanymi na brzuchu czerwonymi rękami.

– Bardzo dobrze, Alibhai – mówi. – Wybornie! – Zastrzelił już przedstawicieli wszystkich gatunków żyjących w Protektoracie, a teraz wziął sobie za cel upolowanie ogra. Będę mu potrzebny do udokumentowania jego ofiar, jako że zajmuję się spisywaniem wszelkich jego spraw i dokonań. Uważa, że byłoby „cholernie dobrze”, gdybyśmy zdobyli ucho Degdir.

Mary mówi mi, że dręczona wyrzutami sumienia córka Degdir wejdzie pewnego dnia do morza i odda się rekinom.]

4. limū

limū przewozi swoje ofiary na barce przez rozległy akwen; do jego terytorium na drugim brzegu mają dostęp tylko ogry i wikłacze. Jeśli zostaniesz tam uwięziony, twoim jedynym wyjściem będzie błaganie

wikłaczy o patyki. Żeby się wydostać, będziesz potrzebować siedmiu. Za pomocą pierwszych dwóch zamienisz się w kamień, dzięki czemu nie zostaniesz zauważony. Pozostałe pięć patyków umożliwi następujące transformacje: w kolce, dół, ciemność, piasek i rzekę.

[– Wyprostuj się, Alibhai! Wyglądaj jakoś!

Mój pracodawca uważa, że brak mi właściwej młodzieńcom werwy. Jego zdaniem jest to rasowa skaza – tak więc nie moja wina – niemniej mogę się poprawić, podążając za jego przykładem.

– Spójrz, Alibhai! – Wypina pierś. Mówi, że jeśli będę chodził przygarbiony jak jakiś ramol, ludzie odniosą wrażenie, że jestem gnuśny i tchórzliwy, a to z kolei sprawi, że będą chcieli mnie kopać. On sam czasami mnie kopie.

To prawda, że plecy często mam sztywne i trudno mi dobrze rozprostować kości. Możliwe, że, jak podejrzewa mój pracodawca, przedwcześnie się starzeję.

Noce podczas pełni księżyca są tak jasne, że mogę zobaczyć na trawie swój cień. Gdy próbuję rozprostować plecy, wije się jak wąż.]

5. Katandabaliko

Choć większość ogrów to duże stworzenia, Katandabaliko jest mały, wielkości dziecka. Przybiega galopem, gdy tylko jedzenie jest gotowe.

– Oto promyczek słońca dla ciebie! – krzyczy, na co wszyscy mdleją, a Katandabaliko w spokoju pożera jedzenie. Jego samego nie da się przyrządzić: nawet pokrojony i ugotowany zszywa się z powrotem i wyskakuje z garnka. Ci, którzy spróbują upichcić go i zjeść, mogą przez przypadek pożreć swoje własne żony. Kiedy

Katandabaliko nie dręczy ludzkich istot, woli zaszyć się pośród klifów.

[Ja wolę zaszyć się w Mombasie, na tyłach sklepu mego wuja: Moosajee i Spółka. Nie potrafię udawać, że sprawiają mi przyjemność noce spędzane na zewnątrz, pod wspaniałym afrykańskim niebem – jak określa to mój pracodawca. Moskity brzęczą, a w trawie szeleści jakieś prawdopodobnie niebezpieczne zwierzę. Somalijski kucharz z wodzem siedzą do późna, opowiadając sobie różne historie, podczas gdy tragarze z Kavirondo śpią w zbudowanej z bagaży zagrodzie. Jest mi niewygodnie, ale przynajmniej nie odczuwam samotności. Mój pracodawca wydaje się czerpać przyjemność z myśli, że niesłychanie cierpię z powodu odosobnienia.

– Dla ciebie to nie spacerek, co, Alibhai? – Myśli, że jestem zbyt uprzedzony, żeby tolerować grupę tragarzy i zbyt przestraszony, by zbliżyć się do Somalijszyków, którzy (jego zdaniem), jako oddani sunnici, muszą obmyślać plan pozbawienia mnie mojej szczyckiej głowy.

W rzeczywistości modlimy się razem. Jesteśmy zmęczeni i daleko od domu; przybyliśmy tu dla pieniędzy, więc kiedy już rozmawiamy, to właśnie o nich. Możemy godzinami dyskutować o tym, co chcemy kupić i w co zamierzamy zainwestować. Nasze języki mogą się różnić, ale wszyscy liczymy w suahili.]

6. Kibugi

Samiec-ogr, który straszy na pogórzcu Masywu Kenii. Nosi ze sobą maczety, noże, motyki i inne metalowe przedmioty. Jeśli uda ci się skaleczyć go w mały palec, wszyscy pożarci przez niego ludzie zjawiają się nagle, krzycząc, ile sił w płucach.



[Przypuszczam, że Mary odebrała wykształcenie na misji – tłumaczyłoby to jej imię, jak i perkalową sukienkę. Nie ma się czego wstydzić, więc dlaczego tak się wściekła, gdy o to zapytałem? Wściekłość Mary jest zimna, głos cichy.

– Mówiłam, żebyś nie zadawał mi takich pytań! Przyszłam tu tylko po to, żeby opowiedzieć ci o ograch! Dawaj pieniądze! – Wyciągnęła rękę, na co ja wydzieliłem jej dzienną pensję w rupiach, chociaż nie została do końca umówionego czasu. Wzięła monety i schowała je w połach sukienki. Paliła mnie jej pogarda, a ręce trzęsły mi się, kiedy zapisywałem jej pensję w księdze rachunków.

– Żadnych pytań! – powtórzyła, kipiąc ze złości. – Jeśli chodziłabym do misyjnej szkoły, to bym ją spaliła! Zawsze byłam wolną kobietą!

Milczałem, choć mogłem jej przypomnieć, że oboje jesteśmy sługami mojego pracodawcy: tak jak ja, przyszła tu po pieniądze. Patrzyłem, jak mknie w stronę wioski. Kiedy się oddaliła, jej sylwetka zaczęła delikatnie drgać w słońcu.

Twarz wciąż pali mnie od żądła jej pogardy.

Zanim odeszła, musiałem jej powiedzieć, że chociaż mój ojciec urodził się w Karachi, to ja urodziłem się w Mombasie. Też jestem Afrykaninem.

Mary wykrzywiła usta w grymasie.

– Kibugi też – odpowiedziała.]

7. Kiptebanguryon

Przeróżający, ale osobliwie udomowiony ogr z Wielkiego Rowu Wschodniego. Zbiera ludzkie czaszki, których używał niegdyś do dekoracji swego przestronnego siedliska. Mówi się, że tak dokładnie je wyczyścił i ładnie poustawiał, że jego dom przypomina z daleka pałac z soli. Jego ludzka żona

powiła mu dwóch synów, z których jeden wyglądał ludzko, jak matka, a drugi, zwany Kiptegen, przypominał ojca. Ludzcy pobratymcy żony uratowali ją, ocalili również jej wyglądające na człowieka dziecko, ale Kiptegena spalili żywcem.

[Miło mi oznajmić, że Mary wróciła tego ranka, zupełnie spokojna i z postanowieniem puszczenia naszej kłótni w niepamięć.

Mówi mi, że brat Kiptegena nigdy nie zapomni jego krzyków, kiedy ginął on w płomieniach. Matkę również napiętnowała ta strata. Gdyby jej nie trzymano, rzuciłaby się w ogień, żeby ratować swoje ogrze dziecko. Ta informacja nie wydaje mi się właściwa do atlasu mojego pracodawcy, ale i tak dopisuję ją na marginesie. Odczuwam jakąś dziwną błogość przy tym pisaniu i nie-pisaniu, w literach zawieszonych pomiędzy objawieniem się a otchłanią niepamięci.

Jeśli mój pracodawca znalazłby te zapiski, uznałby je za wyraz zuchwalstwa, podstępny, szubrawstwa.

Cóż powiedziałbym wtedy w swojej obrobie? „Sir, nie potrafiłem tego powiedzieć. Sir, nie potrafiłem opowiedzieć o łkającej matce Kiptegena”. Zaśmiałyby się w odpowiedzi; uważa, że w jego języku istnieją już wszystkie słowa.

Zastanawiam się, czy Mary też „zapisła na marginesach” jakieś słowa; historie o ograch, których nie może mi opowiedzieć.

Mówi, że Kiptebanguryon jest teraz bezdomny. Jako przedstawiciel nowego pokolenia włóczy się po Protektoracie, czepiając się podwozi pociągów.]

8. Kisirimu

Kisirimu zamieszkuje wybrzeża Jeziora Alberta. Wykąpany, ubrany w materiał z kory oraz uzbrojony w łuk i strzały, lśni

niczym nowożeńcem. Mami młode i łatwiejsze kobiety. Zdradzi go pieśń. Umrze w jamie, przebity włóczniami.

[Wieczorami w blasku lampy odczytuję dzienny inwentarz z księgi rachunków, informując mojego pracodawcę, co dokładnie zostało wydane i zjedzone. Jako przedstawiciel Moosajee i Spółki, Superior Traders oraz Stevedores i Dubashes, jestem odpowiedzialny za dopilnowanie, żeby nic nie zostało skradzione. Gdy przedstawiam mojemu pracodawcy stan posiadania cukru, kawy i herbaty, ten przeciąga się, zamyka oczy, a na twarzy wykwita mu uśmiech. Bekon i mleko w puszkach, owsianka, sól, masło ghi. Przypomina mi, że daktyle są dla Somalijczyków, którzy markotnieją bez tego przysmaku.

Mój pracodawca ma opinię na każdy temat. Twierdzi, że Somalijczycy są nadpobudliwym narodem.

– Nie obraż ich, Alibhai! Ha, ha!

Z kolei lud Kavirondo jest radosny i posłuszny, świetny do pracy fizycznej. Mój lud jest tchórzliwy, ale potrafi liczyć. Uważa też, że nie ma niczego wstrętniejszego od Niemców. Trzeba jednak przyznać, że komponują najpiękniejszą muzykę na świecie, a ich kobiety są ponętne. Mój pracodawca śpiewa mi niemiecką piosenkę i brzmi przy tym jak bawół w opałach. Później każe mi czytać ustępy z Biblii.

Uważa, że sprawi mi to przykrość.

– Herezja, Alibhai! Ha, ha! Będziesz musiał wyszorować sobie usta, co? Dodatkowe ablucje?

Na szczęście Bóg nie podziela jego uprzedzeń.

– *A byli olbrzymowie na ziemi w one dni*¹ – czytam.

– *Bo tylko sam Og, król Basański pozostał był z olbrzymów; oto, łoże jego łoże żelazne*²

1 Cytat za: 1Moj 6:3, Biblia Gdańska, 1881.

2 Cytat za: 5Moj 3:10, Ibidem.

9. Konyek

Konyek jest myśliwym. Swymi wylupiastymi oczyma wysledzi na równinach każdy ruch, a jego ofiarami padają istoty ludzkie. Biega długimi susami, zabija, śpi pod konarami liściatego drzewa.

– Matko, czyje to ślady? – To jego ulubione pytanie.

[Mary powiada, że Konyek przeszedł przez jej wioskę w Roku Bursztynu. Swym biegiem wzniecił wicher tak potężną, że aż poluzowały się dachy. Pewna mądra kobieta przewidziała jego przyjście, a młodzi mężczyźni – wrzócili nich brat Mary – zastawili między drzewami sidła, żeby go pochwycić. Konyek zaśmiał się tylko, podarł sieć i zniknął wraz z uderzeniem gromu. Mary uważa, że znajduje się on teraz w okolicach Eldoret. Mówi, że od czasu zniknięcia Konyeka nikt nie widział jej brata i tych młodych mężczyzn, którzy zastawili pułapkę.

Spojrzenie Mary jest osobliwe, przyciąga mnie. To dziwne, ale jeszcze kilka dni temu opisałbym ją jako oziębłą kobietę. Kiedy opowiada mi o swoim bracie, okręca szkarłatną przędzę wokół palca tak mocno, że obawiam się, iż go utnie.]

10. Mbiti

Mbiti ukrywa się w krzewach owocowych. Odzywa się, gdy ktoś do nich sięgnie.

– Tylko nie wydlub mi oka! – mówi. – Powinam cię zjeść czy uczynić moim dzieckiem? – Godzisz się zostać dzieckiem Mbiti. Kłuje cię igłą. Zdradza ją przyczepiona do końca ogona muszla ślimaka kauri.

[– Mój brat – mówi Mary.

Opisuje las. Mówi, że pójdziemy polować do niego na ogry. Twarz rozjaśnia się jej przygaszonym, ale zdecydowanym blaskiem.

Zdaję sobie sprawę, że się do niej przybliżam. Pobliskie dźwięki, odgłosy otoczenia, uderzenia siekiery o drewno – wszystko to oddala się ode mnie i wkrótce cichnie tak, że zdaje się brzęczeniem much. Świat składa się z Mary oraz ze mnie, Mary jest w niebie i drzewach. Pyta mnie, czy rozumiem to, o czym mówi. Opowiada o swoim bracie, przebywającym w lesie. Zdaję sobie sprawę, że blask, którym emanuje, nie pochodzi z jakiejś nadprzyrodzonej mocy, tylko ze strachu.

Przemawia do mnie z troską, jak do dziecka.

Wręcza mi motek szkarłatnej przędzy.

– Gdy dziecko wybiera się do lasu, zakłada czerwony naszyjnik. Ogry oszczędzają tego, kto go nosi – mówi. – Myślę, że ty i mój brat jesteście dokładnie w tym samym wieku.

Zniżam głos do szeptu.

– A co z Mbiti?

Mary posyła mi wnikliwie, niezwykle bystre spojrzenie.

– Mbiti ma szczęście – mówi. – Nikt jej nie złapał. Do tego czasu pozostanie strażnikiem lasu. Zawsze, na zawsze pozostanie ogrem i siostrą ogrów.]

11. Ntemelua

Ntemelua to osesek, który urodził się już z zębami. Śpiewa: „Zbliź się, garnuszk, zbliź się, lyżeczko”. Podmienia mięso w kociołku na kulki suchego łajna. Jest obrzydliwy w swej przebiegłości: wpelza do odbytu krowy, by ukryć się w jej żołądku. Ntemelua jest słaby i żyje ze strachu, który jest jego nadprzyrodzoną mocą. Dosiada hieny. Nigdy nie jest całkiem wyprostowany, ale go to nie obrusza, jako że i tak potrafi z zadowoleniem rozprostować kończyny. Można mu ująć tylko poprzez opuszczenie jego ziemi.

[Jutro wyruszamy.

Mam ofiarować czerwone naszyjniki tylko tym, którym ufam.

– Znasz ich – tłumaczy Mary – tak, jak ja znam ciebie.

– Znasz mnie? – pytam, wzruszony i zaskoczony.

Uśmiecha się.

– Łatwo poznać kogoś w ciągu tygodnia. Trzeba tylko słuchać.

Rozciągają się przede mną dwie drogi. Jedna prowadzi w las, druga do domu.

Ach, z jaką łatwością mógłbym wrócić do Mombasy! Wykradłbym trochę jedzenia i rupii, a potem ruszył w drogę. Mam przy sobie umowę poświadczającą, że pracuję, a nie włóczę się. Jakież to byłoby proste utrzymać, że mój pracodawca wysłał mnie na wybrzeże, abym złożył zamówienie na zapasy czy też wyprawił do Abisynii, żebyśmy zakupił osły! Czuję jednak, jak czerwona przędza w kieszeni płonie. Chcę zbliżyć się do źródła tego ciepła. Pragnę spotkać ogry.

– Miałeś rację – powiedziała Mary, zanim odeszła. – Chodziłam do szkoły misyjnej, ale jej nie spaliłam. – Uśmiechnęła się, a w uśmiechu tym był zarówno bunt, jak i wstyd. Jedno z oczu Mary, rozświetlone łzą, błyszczało jaśniej od drugiego. Chciałem paść jej do nóg i błagać o wybaczenie. Tak, błagać o wybaczenie – za wścibianie nosa w jej przeszłość, za przywołanie upokorzenia.

Zamiast tego powiedziałem niezgrabnie:

– Nawet Ntemelua spędził trochę czasu w odbycie krowy.

Mary wybuchnęła śmiechem.

– Dziękuję ci, bracie – rzekła.

Odeszła, spokojna i dostojna. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę. Wyobrażam sobie, że spotykam w lesie młodego człowieka z naszyjnikiem ze

szkarłatnej przędzy. Postawa tego człowieka odznacza się lekkością równą postawie Mary. Przygląda mi się jej uważnym i przesywającym spojrzeniem. Wyczekuję tego spotkania, jakby chodziło o dawno utraconego przyjaciela. Wyobrażam sobie, jak ściskam dłoń temu młodemu człowiekowi, który jest taki, jak Mary i taki, jak ja. Pod naszymi złączonymi dłońmi leży mój pracodawca. Zglądzony. Ogry rozrywają puszkę i rozkoszują się sutą ucztą pośród ciemniejących drzew.]

12. Rakakabe

Rakakabe, ach Rakakabe! Jakież on piękny! Ten malgaski demon bywa obserwowany daleko na północy, nawet na wysokości Kismaju. Ślizga się po falach, zjada komary, lśni mu twarz, lśni mu włosy, a jego ulubione pytanie to:

– Śpicie?

Nie, jesteśmy całkiem rozbudzeni, o, lśniąco-ogoniasty Rakakabe!

[Tego ranka rusza nasza ekspedycja. Mój pracodawca śpiewa *Tam, gdzie zielone rosną szuwały*³, ale my, jego słudzy, jesteśmy jeszcze bardziej radośni. Jesteśmy gotowi, by spotkać ogry.

Spoglądamy na siebie i uśmiechamy się. Wszyscy mamy na sobie naszyjniki z czerwonej przędzy: to znak, że przynależymy do ogrów, że jesteśmy przygotowani, by ukrywać się, walczyć oraz ginąć wraz z mieszkańcami lasu – brudnymi, wykolejonymi i rezolutnymi.

– Powiedz mojemu bratu, że czeka na niego jego dom – wyszeptła Mary na samym końcu. To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że to właśnie ja mogę przekazać tę

wiadomość. Ona w tym czasie kontynuuje swoją podróż. Spotyka innych, by wręczać im krwistoczerwone naszyjniki, z jakich słyną ogry.

Ten atlas nigdy się nie skończy. Ogry są wszędzie. Numer trzynaście: Alibhai M. Moosajee z Mombasy.

Tragarze podnoszą swój ładunek z niespytaną werwą. Wyruszają z pieśnią na ustach.

– Spójrz, Alibhai! – wykrzykuje z uciechą mój pracodawca. – Oni są do tego stworzeni. Urodzeni robotnicy!

– O, tak, sir. W samej rzeczy, sir!

Niebo jest spokojne, a kurz nasycony światłem. Wszystko sprzyściło się, by uczynić mnie szczęśliwym.

Myszę, że już wkrótce wkroczę do rezydencji ogrów i rozprostuję kości na progu Rakakabego.]

■ **SOFIA SAMATAR** JEST AMERYKAŃSKĄ PISARKĄ SOMALIJSKIEGO POCHODZENIA, ALE WŁAŚCIWIE ŚMIAŁO MOŻNA BY JĄ NAZWAĆ OBYWATELKĄ ŚWIATA; JAKO DZIECKO WIELE PODRÓŻOWAŁA Z RODZICAMI, JAKO DOROSŁA KOBIETA UCZYŁA ANGIELSKIEGO M.IN. W EGIPCIE I SUDANIE; ZNA ARABSKI, SWAHILI I JEZYK PAZANDE. POPULARNOŚĆ ZDOBYŁA DZIĘKI DEBIUTANCKIEJ POWIEŚCI „CUDZOZIEMIEC W OLONDRII”, KTÓRĄ NAGRODZONO M.IN. WORLD FANTASY AWARD, BRITISH FANTASY AWARD ORAZ NAGRODĄ DLA DEBIUTANTÓW IM. JOHNA W. CAMPBELLA. SOFIA PRACUJE OBECNIE NA UNIWERSYTECIE JAMESA MADISONA W VIRGINII [PZ].

3 *Green Grow the Rushes, O* – tradycyjna brytyjska piosenka.

Scenki z życia wiedźmina

Wiedźmin w Teatrze Muzycznym w Gdyni

Juliusz P. Braun

Teoretycznie musical *Wiedźmin* to produkcja skrojona idealnie pod moje gusta – jestem miłośnikiem zarówno musicali, jak i fantastyki. Książki o GERALCIE lubię (zwłaszcza zbiory opowiadań), ale też nie jestem zatwardziałym fanem, który chciałby zobaczyć na scenie dokładnie to, co przeczytał. Nie miałbym żadnego problemu z pewnymi odstępstwami od materiału źródłowego, które pozwalałyby lepiej przetłumaczyć go na język musicalu.

Kiedy więc wreszcie udało mi się wybrać do Gdyni – bilety musiałem kupić z niemal rocznym wyprzedzeniem! – jechałem tam ze sporą nadzieją, ale i z poważnymi obawami. Z jednej strony Teatr Muzyczny

w Gdyni udowodnił mi już spektaklem *Notre-Dame de Paris*, że jest w stanie zrealizować produkcję na światowym poziomie. Z drugiej – aby tak się stało, potrzeba dobrego materiału. I libretta, i tekstów piosenek, i (w szczególności) muzyki. W „Wiedźminie” w dużej mierze odpowiada za nie ten sam zespół, co w przypadku poprzednich oryginalnych produkcji gdyńskiego teatru. Nie miałem okazji zobaczyć ich na scenie, jednak przesłuchanie niektórych utworów z *Chłopów* oraz *Lalki* nastroiło mnie raczej sceptycznie. Starałem się jednak nie wydawać przedwczesnych sądów i obejrzeć spektakl bez żadnych konkretnych oczekiwań.

Musicalowy *Wiedźmin* jest dosyć wierną

adaptacją wybranych opowiadań o Gericie. Jak *Głos rozsądku* spina teksty w zbiorze *Ostatnie życzenie*, tak opowiadanie *Coś więcej* zostało wykorzystane w spektaklu – raniomy w walce z potworami Geralt mający i przypomina sobie kolejne przygody. Pozornie niepowiązane, ale z biegiem czasu okazuje się, że... No właśnie. Na dobrą sprawę nadal w dużej mierze niepowiązane. W tym tkwi podstawowy problem fabuły *Wiedźmina*. Reżyser i zarazem autor adaptacji teatralnej, Wojciech Kościelniak, rzuca nas po historii Geraltu bez ładu i składu, wydarzenia nie układają się w spójną fabułę. Niby większość akcji dotyczy relacji Geralt i Ciri, ale z drugiej strony w spektakl wpleciono również wątek Yennefer (między innymi ich pierwsze spotkanie w *Ostatnim życzeniu*), który z poprzednim zupełnie się nie klei, bo spektakl kończy się jeszcze zanim Yennefer zdąży w ogóle poznać Ciri. Pierwszy i jedyny raz, kiedy obie stoją na scenie jednocześnie,

to podczas ukłonów. Zupełnie jakby autor uznał, że w opowieść o Gericie trzeba również wcisnąć Yennefer, mimo że tak naprawdę w fabule ma dla niej miejsca.

Skoro więc wątki Ciri i Yennefer są od siebie całkowicie niezależne, to jedynym spoiwem musicalu pozostaje motyw „Geralt i Przeznaczenie”, zbyt niejednorodny, żeby udźwignąć trwający ponad trzy godziny spektakl. O ile w przypadku zbioru opowiadań niepowiązanie poszczególnych tekstów to nie problem, ponieważ każdy z nich sam w sobie stanowi zamkniętą całość, o tyle ten sam mechanizm nie sprawdza się w przypadku sztuki teatralnej. Ze względu na (zrozumiałe zresztą) ograniczenia czasowe poszczególne opowiadania nie mogą wybrzmieć w całości, toteż widz nie bardzo wie, co i dlaczego dzieje się na scenie, a spektakl zbyt dosłownie przypomina rojenia mającego Geralt.

Na pochwałę zasługuje natomiast strona

Geralt otoczony przez driady. Fot. Przemysław Burda





Jaskier, Geralt i Płotka. Fot. Przemysław Burda

inscenizacyjna musicalu. Scenografia Damiana Styryni opiera się w dużej mierze na konstrukcjach z pokrytego pajęczynami, nieoheblowanego drewna, które jeszcze przed rozpoczęciem spektaklu wprowadzają widza w bliski prozie Sapkowskiego klimat. Na scenie roi się od tancerzy i akrobatów, a twórcy co i rusz zaskakują jakimś nietypowym rozwiązaniem – a to dzinnem granym jednocześnie przez dwie osoby połączone szarfą, a to choreografią zjaw wykonywaną na hoverboardach.

Aktorstwo i wokale również stoją na co najmniej dobrym poziomie. Wyróżniają się Jakub Badurka w roli Jaskra – na początku pełniący funkcję narratora, później niestety jakby zapomnianego przez autora adaptacji – oraz młodzieńca Pola Król, która w roli Ciri w każdej scenie przyćmiewa Krzysztofa Kowalskiego, czyli Geralta. On jeden pod kątem aktorskim nieco odstaje od reszty

obsady, brak emocji wygląda raczej na niedostatki aktorskie niż na doskonałe wczucie się w wiedźmina po Próbie Traw. Trzeba jednak przyznać, że wokalnie Kowalski radzi sobie bardzo dobrze. Na osobną wzmiankę zasługuje także Iga Grzywacka, która gra... Płotkę. I jakkolwiek przed spektaklem nie bardzo wiedziałem, jak można przedstawić na scenie konia, okazuje się, że można. Więcej! Płotka to absolutnie jeden z najjaśniejszych punktów całego spektaklu. Podczas każdej podróży kręci się wokół Geralta i choć zazwyczaj nie bierze bezpośredniego udziału w akcji, to... no cóż, zachowuje się jak koń. Włącznie z gryzieniem przypadkowej, wiszącej w pobliżu liny. A robi to w tak uroczy sposób, że widz ma ochotę machnąć ręką na głównych bohaterów i patrzeć tylko na nią. Zastanawia tylko decyzja, aby dopiero w finale jasno powiedzieć, że Płotka jest koniem (a właściwie wieloma różnymi

końmi). Trudno mi stwierdzić, jak odbierałbym jej występ z perspektywy osoby, która nie wie tego od początku.

W ten sposób dotarliśmy do *clou* programu – muzyki. Nawet poważne problemy z fabułą nie skreślają musicalu, jeśli broni się on na tym polu. Takie na przykład *Koty* nawet nie udają, że są czymś więcej niż luźnym zestawieniem kocich piosenek i tańców, a od niemal 40 lat radzą sobie znakomicie i mają na koncie ponad 15 tysięcy spektakli tylko na Broadwayu i West Endzie. Może więc muzyka sprawi, że musicalowy *Wiedźmin* stanie się dziełem ponadczasowym?

Śpieszę z odpowiedzią: niestety nie. Więcej – ciężko nawet traktować *Wiedźmina* jako pełnoprawny musical. W musicalu bowiem piosenki posuwają akcję do przodu, są ściśle powiązane z fabułą. W *Wiedźminie* tak nie jest. W piosenkach nie usłyszymy dialogu między postaciami, nie usłyszymy też, o czym w danym momencie bohaterowie myślą ani co czują. Kiedy nadchodzi czas na utwór, akcja zatrzymuje się i ktoś odśpiewuje swoją opowieść – najczęściej solowo, ewentualnie z towarzyszeniem chóru. Skrajnym przypadkiem tego wyrwania utworu z kontekstu jest piosenka Geralta o Dzikim Gonie, która (choć wpada w ucho bodaj najbardziej z całego spektaklu) pojawia się ni z gruszki ni z pietruszki, po prostu Geralt postanawia opowiedzieć o nim Yenifer. „Wiesz, co jeszcze ma związek z Przeznaczeniem? Dzikie Gon”. W innym momencie przygody Ciri w Brokilonie na chwilę idą w odstawkę, żeby Braenn zaśpiewała o tym, jak została driadą.

W ogóle piosenek jest w *Wiedźminie* niewiele – większość spektaklu toczy się w formie zwykłego, „niemuzycznego” teatru. Wspomniana piosenka Geralta to jego pierwszy utwór, a pojawia się dopiero w finale pierwszego aktu (a więc po mniej więcej

półtorej godziny spektaklu). Pod tym względem *Wiedźmin* przypomina raczej ekranizację *Akademii Pana Kleksa* niż broadwayowskie musicale. Szkoda, bo pierwsze z adaptowanych opowiadań, *Kwestia ceny*, stara się w miarę trzymać formy musicalowej, co wychodzi mu na dobre. Potem odnosi się wrażenie, jakby Wojciech Kościelniak chciał upchnąć w spektaklu wszystkie charakterystyczne dla *Wiedźmina* motywy i zabrakło mu miejsca na muzykę – a przy tym nie miał pomysłu, jak wpieść ją w akcję.

W rezultacie autor tekstów piosenek, Rafał Dziwisz, oraz kompozytor, Piotr Dziubek, nie mieli wielkiego pola do popisu. Temu drugiemu należy się jednak pochwała, bo muzyka dobrze oddaje wiedźmińską atmosferę, zdarza się też kilka utworów zapadających w pamięć, jak utwór o bitwie pod Sodden. Chciałoby się jednak, żeby partie chóralne były bardziej urozmaicone – większość z nich to wspólny śpiew całego zespołu w harmoniach lub wręcz unisono. Najlepiej jednak Dziubkowi wychodzą instrumentalne partie stanowiące tło dla scen mówionych.

Nie można zatem *Wiedźmina* nazwać dobrym musicaliem. Nie należy też nastawiać się na to, że spektakl opowie jakąś konkretną fabułę od początku do końca. Można natomiast miło spędzić w teatrze czas, oglądając te dosyć losowe scenki z życia wiedźmina, od czasu do czasu okraszone piosenką. Należy oddać twórcom, że spektakl trwający z przerwą bite trzy i pół godziny nie nuży. Warto więc wybrać się do Gdyni, choćby dla warstwy inscenizacyjnej i dla Płotki.

W jednym z wywiadów Wojciech Kościelniak powiedział: „Mam nadzieję, że będzie się ten spektakl w miarę przyjemnie oglądało”. I ten plan udało się zrealizować.

■ JULIUSZ P. BRAUN

Fantazje dla wszystkich

Michał Szymański

Pamiętacie darmową antologię *Geniusze fantastyki*? Wypuszczona dwa lata temu przez wydawnictwo Genius Creations książka zawierała niemal dwa tysiące stron opowiadań autorów mniej i bardziej znanych, piszących fantastykę bardzo zróżnicowaną zarówno stylistycznie, jak gatunkowo. Jeśli pamiętacie i Wam się podobało, powinniście poważnie przemyśleć zapoznanie się z *Fantazmatami*. Jeśli nie – i tak możecie spróbować. A poniżej kilka słów o tym, czego się po *Fantazmatach* spodziewać

Najpierw trochę technicznych szczegółów. Po pierwsze, *spiritus movens* projektu jest ten sam człowiek, który stał za wykonaniem *Geniuszy*..., jednak tym razem żadne komercyjne wydawnictwo nie brało bezpośrednio udziału w pracach. *Fantazmaty* to projekt w całości fanowski i robiony po godzinach, przy zaangażowaniu kilkudziesięciu osób odpowiedzialnych za selekcję i redakcję tekstów, obróbkę graficzną i PR. W chwili pisania recenzji nie mam jeszcze przed sobą ostatecznej wersji pliku, ale, sądząc po nazwiskach w stopce, powinien on wyglądać solidnie. Całość jest co prawda sporo cieńsza od *Geniuszy*..., ale nadal dość gruba, by zająć Wam kilka długich wieczorów – 450 stron w formacie

„książkowym”. Oprócz tekstów funkcjonujących już na rynku autorów, antologia zawiera pięć opowiadań konkursowych.

No właśnie, wszyscy wiedzą, jak to jest z konkursami literackimi – czasem gust juryków pokrywa się z gustem czytelników, czasem nie. Osobiście jestem nieco zaskoczony rozkładem głosów – zwycięska *Drakodoncja stosowana* nie jest moim ulubionym tekstem w antologii, ani nawet ulubionym spośród tych konkursowych. Za to już miejsca drugie i trzecie – miodek i czysta radość czytania, serce rośnie na wieść o tym, że takie fajne rzeczy ludzie na konkursy przysyłają. Generalnie zwycięska piątka nie odstaje średnim poziomem od opowiadań zamówionych do antologii, co cieszy i podnosi na duchu. Cieszy również zastosowana polityka jawności – ze strony internetowej projektu możemy się dowiedzieć kto oceniał, co było oceniane i jakie wyniki końcowe otrzymała pierwsza dziesiątka uczestników. Brawo.

A jak pozostałe opowiadania? Na ogół bardzo przyjemnie, np. otwierające zbiór *Trupy* Pawła Majki to ciekawe podejście do pewnego częstego w SF motywu z kilkoma sporymi niespodziankami po drodze. Ani ci starsi i popularniejsi, ani ci młodszy na

ogół nie zawodzą (są wyjątki). Rozstrzał prezentowanych stylów i gatunków jest przeogromny – od klasycznego fantasy Magdy Kucenty (bardzo dobre), przez równie klasyczną spac operę Andrzeja Sawickiego (nieźle, choć początek ciekawszy niż koniec, więc ostatecznie rozczarowanie), po flirty z kryminałem (*Rzeczy, które robisz w Łodzi będąc martwym* – 8/10, trzy gwiazdki za głównych bohaterów), realizmem magicznym (*Pod skórą* – duże brawa dla Agnieszki Hałas, naprawdę, naprawdę udany tekst, o rzeczach wystarczająco trudnych, by większość doświadczonych autorów fantasy omijała je szerokim łukiem) czy konwencją superbohaterką (*Śnienie*, lekko kojarzące się *Iniemamocnymi* Pixara, ale nadal bardzo dobrze napisane). Zmieścili się nawet dwa opowiadania zupełnie eksperymentalne – udany *Dzień Walpurgii* Ahsana Ridha Hasana, *Gang Higiena* duetu Kyrucz + Walczak (zupełnie nieudany). Choć z eksperymentami to zawsze jest tak, że nie sposób ocenić, czy przypadną do gustu końcowemu odbiorcy.



W każdym razie, dobrze że znalazło się dla nich miejsce.

Moim największym pozytywnym zaskoczeniem jest *AJAS 22.9.5.12.11.9* Jacka Łukawskiego. Świetnie podana, nieco oniryczna i surrealistyczna wizja w militarnych dekoracjach. Jest akcja, jest tajemnica, jest świetny język i intrygująca konstrukcja narracyjna. Nie jestem tylko pewien, czy koniecznie trzeba było dodawać do niej odautorskie posłowie wyjaśniające, co poeta miał na myśli. Trochę psuje odbiór i spłaszcza możliwe odczytania. Ale nadal – kawał świetnej literatury. Chyba najlepsza rzecz Jacka, jaką do tej pory czytałem.

Wypada na koniec zawyrokować, czy warto i dla kogo to jest. Malkontenci będą zapewne narzekać na to samo, co w przypadku *Geniuszy fantastyki* – że zbiór skonstruowany bez motywu przewodniego jest chaotyczny i trudno określić, do kogo miałyby być adresowane. Z jednej strony – ciężko się nie zgodzić, że nic tych tekstów tak naprawdę nie spaja. Z drugiej jednak – różnorodność wydaje się mocną stroną projektu. Ebook jest darmowy, każdy może w kilka minut pobrać go, zrzucić na czytnik czy tablet i samemu wyrobić sobie opinię o poszczególnych utworach. Twórcy byli nawet tak mili, że przed premierą udostępnili fragmenty opowiadań na Facebooku, co też bardzo ułatwia odsianie tego, co na pewno się Wam nie spodoba i skupienie na tekstach najbardziej do Was przemawiających. Moja ogólna ocena jest więc jak najbardziej pozytywna. Bierzcie, czytajcie, nie powinniście się zawieść.

Prace nad drugim tomem *Fantazmatów* trwają, trwa również konkurs pod tytułem „Umieranie to parszywa robota”, będącym pierwszym krokiem na drodze do kolejnej antologii. Redakcja „Smokopolitana” trzyma kciuki.

■ MICHAŁ SZYMAŃSKI

Japoński CYBERPUNK

Od awangardowych transgresji do kina popularnego

Marcin Kłak

Opracowanie *Japoński cyberpunk...* autorstwa Agnieszki Kiejziewicz to ciekawa, acz nie pozbawiona wad monografia, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Kirin. Pozycja ma zdecydowanie charakter naukowy, ale napisana jest przystępnym językiem, więc każdy zainteresowany może spokojnie po nią sięgnąć.

Jak wskazuje tytuł, autorka postawiła sobie za cel przekrojowe omówienie zagadnienia japońskiego kina o stylistyce cyberpunkowej. Sam nie będąc znawcą tematu, z dużą chęcią sięgnąłem po tę książkę. Niestety, wzbudziła ona we mnie dość mieszane uczucia. Wyraźnie widać, które filmy znajdowały się w kręgu zainteresowań badaczki. Zdecydowanie więcej uwagi zostało poświęcone kinu awangardowemu niż popularnemu. Blisko jedna trzecia książki to bardzo szczegółowo scharakteryzowane filmy Shinyi Tsukamoto. Trylogia *Tetsuo* opisana jest nad wyraz wnikliwie – aż do poziomu analizy

poszczególnych scen. Z kolei kino popularne, w tym tak znane utwory, jak choćby *Akira* czy *Ghost in the Shell*, są omówione (w porównaniu) dość pobieżnie. Ta dysproporcja nie jest, rzecz jasna, niczym złym sama w sobie. Lecz tytuł pracy do czegoś zobowiązuje i można odczuć jednak pewien niedosyt.

Sama lektura omawianej pozycji jest bardzo ciekawa. Autorka z dużym znanstwem opisuje kolejne filmy, wskazując na inspiracje i nawiązania. Do tego dochodzi interpretacja wybranych elementów fabuły. Dla osoby nie znającej omawianych filmów wadą mogą być pojawiające się w książce spoilery, jednak pomimo nich po przeczytaniu monografii nabrałem ochoty na obejrzenie wspomnianych produkcji (i to pomimo tego, że część z nich powstała na tyle dawno, iż użyte w nich efekty specjalne raczej nie zachęcają).

Japoński cyberpunk... posiada wady i zalety tekstu naukowego. Dla badacza czy bardzo wnikliwego czytelnika plusem jest

to, że zawiera bogatą bibliografię. Jeśli tylko jakiś temat by nas szczególnie zainteresował, to bez najmniejszego problemu możemy sprawdzić, w jakiej publikacji był on poruszony. Niestety, przypisy bibliograficzne w tekście nie różnią się niczym od przypisów autorskich, co nieco utrudnia lekturę. Lepszym wyjściem byłoby używanie odmiennej numeracji na te dwa typy odnośników.

Japoński cyberpunk... jest pozycją, która może być warta uwagi zarówno laika, jak i osoby zainteresowanej tematyką czy to

cyberpunku, czy ogólnie pojętej fantastyki. Co ważne, użyty język jest nie tylko przystępny, ale też ciekawy. Rzecz jasna, nie mówimy tu o beletryście, ale też autorka nie znudzi nas sposobem prezentacji materiału. Jednak zabierając się do lektury, musimy pamiętać, że badaczka szerzej omówiła tylko te aspekty, które ją samą interesowały, a część z tematów została opisana dużo mniej dokładnie. Jeśli nam to jednak nie przeszkadza, to zdecydowanie warto zwrócić uwagę na ten tytuł.

■ MARCIN KLAK

Agnieszka Kiejziewicz



JAPONSKI CYBERPUNK

OD AWANGARDOWYCH TRANSGRESJI
DO KINA POPULARNEGO

KIRIN

Sny o lubieżnych ośmiornicach

Michał Szymański

CZYLI WSZYSTKO, CZEGO NIE CHCIELIŚCIE WIEDZIEĆ O HENTAI, WIĘC NIE BYŁO SENSU PYTAĆ

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że japońska popkultura bywa dziwna. Nikogo też raczej nie zaskakuje fakt, że ta dziwność dotknęła również japońską pornografię. Chyba tylko w tym jednym miejscu na świecie rysunkowe porno wypracowało swoje własne reguły gatunkowe, klisze, systemy intertekstualnych odniesień i swój własny fandom. Dla tych, którzy nie zrezygnowali jeszcze z zadawania sobie odwiecznego, skazanego na wymowne milczenie pytania „DLACZEGO?!”, oto próba uchwycenia fenomenu. Reguła 34: jeśli coś istnieje, jest o tym porno. Przypis do reguły 34: jeśli coś nie istnieje, jest o tym *hentai*.

MISJONARSKI ZAPAŁ, CZYLI PODŁOŻE KULTUROWE

Dawno, dawno temu, kiedy Magnificon odbywał się jeszcze na stadionie Wisły, trafiłem przypadkiem na prelekcję o japońskich wampirach. Ponieważ wampiry również w *hentai* występują, temat musiał pojawić

się prędzej czy później i gdzieś po drodze prelegent rzucił mniej więcej taką mądrością życiową: „Nie było fizycznej możliwości, by w kraju, w którym domy budowano z papieru, wykształciła się jakakolwiek pruderia”. I faktycznie nie ma tej pruderii tak dużo, nagość i seksualność nie są otoczone aż takim tabu jak w Europie. Prawny zakaz sprzedaży pornografii jest na wyspach niemalże martwy, procesy o jego złamanie są niezwykle rzadkie i zawsze trafiają na pierwsze strony gazet. Nie zawsze jednak tak bywało.

Przykładowo: w XVIII wieku szogunat Tokugawów wydał oficjalny zakaz wytwarzania i sprzedawania treści obscenicznych. Zakaz przetrwał ponad sto lat i był egzekwowany z całą surowością, nie powstrzymał jednak artystów przed tworzeniem na zamówienie czysto pornograficznych grafik. Szczególną popularnością cieszyły się wówczas *shunga*, czyli erotyczne drzeworyty, traktowane podobnie jak współczesne świerszczyki. Najśłynniejsze z nich, *Sen żony rybaka* z kobietą i dwoma

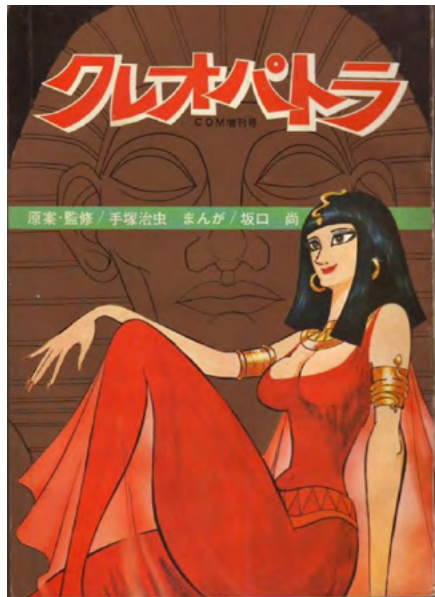
ośmiornicami w roli głównej, okaże się wyjątkowo inspirujący dla japońskich twórców, ale nie uprzedzajmy wypadków.

W drugiej połowie XIX wieku, wraz z otwarciem Japonii na zachodnie wpływy, normy uległy pewnemu rozluźnieniu. Trzeba pamiętać, że cesarstwo praktycznie do 1860 roku tkwiło w głębokim feudalizmie, chcąc więc dogonić Europę, ludność wysp musiała dokonać gigantycznego skoku cywilizacyjnego. Sfera seksualna nie była wyjątkiem. Do zamkniętego, konserwatywnego kraju, w którym przez sto lat nie wolno było malować erotyki, wkroczyła nagle nowoczesna seksuologia, psychoanaliza ze wszystkimi podtekstami, rączkująca fotografia erotyczna... Spróbujcie sobie wyobrazić szok kulturowy, jaki musiało to wywołać, i jednocześnie zapal, z jakim japoński przemysł erotyczny zabrał się do nadrabiania zaległości.

Wyobraziliście sobie już?

Nie, tylko Wam się tak wydaje. Dość powiedzieć, że wydawany na początku XX wieku w Kioto magazyn „Modern Sexuality” promował nekrofilję jako urozmaicenie dla znudzonych i spragnionych wrażeń, a wszelkiego rodzaju fetysze i zbrocenia miały naprawdę świetną opinię wśród nowoczesnych japońskich mieszczan¹.

Mniej więcej w tym czasie wchodzi do powszechnego użycia słowo *hentai*. Wyjściowo znaczyło ono po prostu „skrzywienie, odchylenie”, bez szczególnego pejoratywnego odcienia. Zero związku z erotyką. Japońska seksuologia postanowiła jednak użyć go jako członu w wyrażeniu *hentai seiyoku*, czyli „zbrocenie seksualne”. Termin szybko zredukowano do znaczenia



„dotknięty zbroceniem” i nabrał on mocno negatywnego wydźwięku. Trochę jak „odchył” w polszczyźnie, tylko mocniej i w węższym kontekście. Bo wiecie, sympatia dla fetyszy to jedno, ale pewne tabu jednak w Japonii istnieją. Kto te tabu łamie (gwałciiciel, pedofil, ekshibicjonista itp.), na tego właśnie mówi się *hentai*, czyli „dewiant”. I jest to raczej brzydkie słowo.

Tutaj mała uwaga: poza Japonią termin ten często oznacza po prostu „mangę i anime z wątkami pornograficznymi”. W samej Japonii – nie. Tam na takie rzeczy mówi się „komiksy dla dorosłych”, „animacje dla dorosłych”, rzadziej „komiksy H”, ale prawie nigdy *hentai*, bo dewiantów generalnie się nie lubi. „H” transkrybuje się z japońska na „ecchi”, a tym słowem z kolei przywykło się na Zachodzie określać lekko erotyczną mangę, bez twardej pornografii. Ot, niuanse znaczeniowe.

Naturalnie, troskliwe faszystowskie władze nie mogły pozwolić obywatelom utonąć w odmętach rozpusty i w 1907 zakazały

1 Ciekawskim polecam publikację *Absolute Erotic, Absolute Grotesque* Marka Driscolla zagłębiającą się w historię japońskiej pornografii. Reguła 34. Na długo przed internetem.

obrotu „treściami obscenicznymi”. Zakazu nie zdjęto do dziś, zmieniają się jedynie definicje. I tu znowu jest ciekawie. W tym momencie na przykład nie wolno pokazywać w druku i na taśmie włosów łonowych, ale już огоlone genitalia są spoko. Nie wolno pokazywać narządów podczas penetracji, ale jak się je zamaże, to sama penetracja jest OK. Ponadto zakazy nie dotyczą przedstawień w sztuce, ale jakoś od dawna nikomu nie udało się udowodnić, że jego komiks to sztuka. W dodatku do 2015 roku wszystkie powyższe zakazy obejmowały wyłącznie „dojrzałe narządy płciowe”.

Tak, dziecięca pornografia była w Japonii legalna jeszcze trzy lata temu.

Prawdopodobnie, jak pisali te ustawy, to nie przyszło im do głowy, że ktoś je może w taki sposób obejść?

Od momentu wprowadzenia zakazu kolejne pokolenia japońskich pornografów prześcigają się w wynajdywaniu coraz to nowych wyjątków od litery prawa.

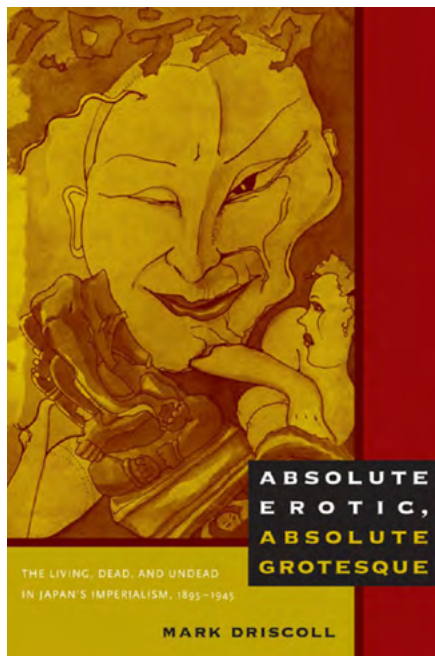
...O KTÓRYCH SIĘ FIZJOLOGOM NIE ŚNIŁO

I tak za pierwszy animowany film erotyczny produkcji japońskiej uchodzi *Senya Ichiya Monogatari* z 1969 roku, zrealizowany pod okiem Osamu Tezuka, ojca nowożytnego komiksu japońskiego. Nie jest to jeszcze typowe *hentai*, w zasadzie nie jest to nawet *ecchi*. Tezuka obmyślił tę animację jako adaptację *Księgi tysiąca i jednej nocy*, akcentującą wątki erotyczne, które tradycyjnie zwykło się pomijać i wycinać w nowożytnych *retellingach*. Kto księgę czytał, ten wie, że było w czym wybierać.

W *Monogatari* Tezuka podchodzi do wątków erotycznych bardzo artystycznie i nastrojowo. Nie pokazuje niczego zakazanego japońskim prawem, chętniej posiłkując się

metaforą bądź wizualną impresją niż dosłownością. Biusty występują tu w ilościach hurtowych, nadal jednak ma się wrażenie pewnego wysmakowania i ambicji twórczej. Film jest dostępny w całości na YouTube z włoskim dubbingiem, kto ciekaw, może rzucić okiem. W Japonii spotkał się z przyjęciem raczej ciepłym, poza Japonią – nieszczęśliwie się nim przejęto. Taśmy z wersją angielską uznaje się obecnie za zaginioną.

Zachęcony względnym sukcesem tego przedsięwzięcia Tezuka popełnił jeszcze dzieło zatytułowane *Cleopatra*, w Stanach sprzedawane z podtytułem *The Queen of Sex*. Tu z kolei odniósł bezwzględną porażkę – film jest naprawdę zły, w dodatku paskudnie się zestarzał i nie za bardzo spełniał swoją rolę jako erotyka. Co jednak trzeba mu oddać, to to, że był prawdopodobnie pierwszym anime zbudowanym według schematu „ci źli chcą zniewolić ludzkość przy pomocy kopulacji”. Całe pokolenia twórców będą



budować na tym fundamentcie.

Mniej więcej równoległe do erotycznego anime rozwija się erotyczna manga. Początkowo komiksy pozostają pod dużym wpływem fotografii pornograficznej i powielają typowe dla niej schematy, jednocześnie czerpiąc pomysły na fabuły z popularnych gatunków mangi. Klasykami staną się w tym okresie takie tytuły jak *Ero Mangatropa*, *Erogenica* czy *Alice*. Co ciekawe, w tym okresie termin „manga” oznacza jeszcze w Japonii komiksy dla młodszych odbiorców i jest jasno odróżniany od „gekiga” przeznaczonych dla starszej widowni. Rysowana erotyka z lat 70. była zatem identyfikowana raczej jako „ero-gekiga”. Ta granica miała jednak wkrótce ulec zatarciu za sprawą jednego człowieka.

Wspominałem już, że dziecięca pornografia była legalna w Japonii przez cały XX wiek? Aż dziw, że dopiero pod koniec lat 70. ktoś postanowił ten fakt wykorzystać. Poznajcie Hideo Azumę.

Pan Azuma w Polsce kojarzony jest przede wszystkim z autobiograficznej komedii *Dziennik z zaginięcia*. Nic dziwnego, bo to świetna rzecz. Pan rysownik opowiada w niej historię krótkiego epizodu alkoholizmu i bezdomności, który przeżył pod koniec lat 80. Jest rzeczą absolutnie niewiarygodną, jak można z taką dozą autoironii i czarnego humoru zwierzać się czytelnikom z myśli samobójczych i życia od butelki do butelki. A on to zrobił. Ciekawy człowiek, zapewne.

Dziesięć lat wcześniej ów ciekawy człowiek dał światu komiks, który uznaje się za początek nurtu *lolicon* w ramach *hentai*. *Lolicon*, czyli komiksy o lolitkach, w których czynności seksualne podejmują nastolatki wyglądające tak dziecinnie i „cute”, jak to tylko możliwe, by publiczność była jeszcze w stanie to przelknąć. Wydana w 1979

Cybele rozpoczyna boom na tego rodzaju erotykę w Japonii. Założony na tej fali magazyn „Lemon People” przetrwał zeszłośc lat i przegrał walkę o rynek dopiero z internetem.

Gwoli ścisłości – to nie jest tak, że wszystkim Japończykom podobają się komiksy o spółkujących nastolatkach. Popularność *loliconów* wywołała błyskawiczną reakcję społeczeństwa. Wydawcy *hentai* toczyli nieraz wieloletnie prawne i PR-owe batalie o utrzymanie pozycji i popularności. Przeciwnicy tego rodzaju twórczości wskazywali przede wszystkim na jej potencjalnie zły wpływ na młodzież (Alkohol? Nie. Papierosy? Nie. A może *hentai*...?). Którego, nawiasem mówiąc, nikt nigdy nie udowodnił. Ale o tym później.

W 1984 nurt nieletniego *hentai* zrodził pierwsze kanoniczne anime tego gatunku, *Lolita Anime*, które miało stać się pierwszym japońskim porno dystrybuowanym na Zachodzie. Oczywiście eksportowi towarzyszyła pewna doza kontrowersji. Do dziś towarzyszy. Jeśli myśleliście, że cenzura prewencyjna umarła wraz ze Związkiem Radzieckim, to znak, że nie mieliście kontaktu z zachodnimi wydaniem *hentai*.

Na przykład *Nocturnal Illusion*, klasyczna dziś japońska gra z erotyczna, po angielsku wyszła bez wizualnych przedstawień Czerwonego Kapturka, który, zgadliście, zostaje zgwałcony przez wilka. Gra jest tekstowa, więc gracz może sobie poczytać opis rzeczzonego gwałtu i towarzyszące mu dialogi, patrząc na czarny ekran i posiłkując się swoją chora wyobraźnią. Czemu tak, a nie inaczej – to wie tylko Pan Bóg i cenzor.

A przykładowo *Urotsukidoji* AKA *Legend of the Overfiend*, znaczące początek triumfalnego pochodzenia mackowatych demonów przez japońską pornografię, Brytyjczycy nigdy nie dostali na oficjalnych nośnikach.

Przedstawiona tu erotyka była na tyle brutalna, że londyńscy urzędnicy nie wpuścili jej na teren kraju.

BDSM (BRUTALNOŚĆ, DIABEŁ, SPERMA, MACKI)

Przełomu dokonał Toshio Maeda, który w uznaniu zasług zażył sobie, by na jego nagrobku wryto napis: „Król macek”. (Wciąż żyje, więc dopiero się przekonamy, czy spadkobiercy zrealizują to życzenie). Skromnością człowiek nie grzeszy, twierdzi na przykład, że przed dwudziestką przeczytał 2000 książek, a potem stracił rachubę, ostatnio zaś próbuje rozkręcać biznes *hentai* dla dojrzałych kobiet. Widać, trzeba było prawdziwego wizjonera i geniusza zła, by wpaść na pomysł, że może penetracja przy pomocy macki, ogona, robota, gałęzi itp. to nie do końca jest stosunek seksualny i powinna przejść przez cenzurę bez zamazywania.



Tak naprawdę udało się połowicznie, bo sporo tentaklowych pornosów i tak nosi ślady cenzorskiego zapału, ale pomysł chwycił. Maeda zresztą niczego nowego nie wymyślił – zaadaptował tylko do swojej mangi motyw, który istniał już w amerykańskim horrorze od kilkunastu lat. Gwałtu na bohaterkach nieludzkimi kończynami dokonywali m.in. Corman (*Dunwich Horror*), Raimi (*Martwe zło*, bardzo *explicite*), Polański (*Dziecko Rosemary*, bardzo *implicite*) czy nawet Żuławski (*Opętanie*, tu w pewnym sensie obyło się bez gwałtu). *Hentai* uczyniło jednak z tego swój znak rozpoznawczy. Choć w sumie *trademark* należał do Japonii. Pamiętacie *Sen żony rybaka*?

Legenda była koniksem bardzo brutalnym i bardzo pornograficznym, przy czym posiadała zupełnie spójną fabułę, w której sceny erotyczne miały określone uzasadnienie. Nawet jeśli jedynym były upodobania danego demona. To również jest dla *hentai* standard, zwłaszcza dla tych wydanych w latach 90. i później. Odbiorca rysunkowego porno okazuje się być stosunkowo wymagający. Anime na podstawie *Legendy* było jeszcze bardziej brutalne, zdecydowana większość wszystkich scen seksu to tak naprawdę sceny brutalnego gwałtu. Zdecydowanie nie poleca się widzom o słabych żołądkach. Kolejne kontynuacje jeszcze na brutalności zyskiwały, co powinno przynajmniej lekko niepokoić. Z drugiej strony – już starsze o dwa lata *Lolita Anime* zawierało sceny gwałtu na nieletnich. Nie ma co ukrywać, do dziś spora część japońskiej produkcji erotycznej traktuje gwałt jako jeszcze jeden fetysz do sprzedania widzom. I, oczywiście, jest regularnie oprotestowywana.

Od tego momentu rozwój *hentai* polega przede wszystkim na wynajdowaniu coraz dziwniejszych form pornografii i mieszaniu ich z kolejnymi konwencjami gatunkowymi.

Jednym z najbardziej kuriozalnych przykładów, na jakie trafiłem, jest manga *Bondage Fairies*. Dwie wróżki ze skrzydełkami pełnią funkcję policji wśród małych, leśnych stworzonek. Pozostają ze sobą nawzajem w nieformalnym lesbijskim związku, który od czasu do czasu urozmaicają przez zabawy z owadami, łasicami i innymi mieszkańcami leśnych ostępów. Każdy zeszyt zawiera również wstawki przyrodniczo opisujące prawdziwe zwyczaje rozrodcze leśnej fauny. Jeśli czytasz ten akapit z uniesioną brwią albo otwartymi ustami, to znaczy, że jest jeszcze dla Ciebie nadzieja.

Na dzień 21 stycznia 2018 roku najpopularniejszym fetyszem wśród fanów *hentai* jest *futanari*, czyli dziewczyna z penisem. Na wszelki wypadek nie będziemy się zastanawiać, czy to coś znaczy.

CYBEREK Z LOLITKĄ

Popularność *hentai* nie uszła również uwadze twórców elektronicznej rozrywki. Rozwój gatunku przebiegał tu podobnie jak w komiksie, wspomnimy więc tylko o kilku istotnych szczegółach.

Gry erotyczne Japończycy nazywają z japońska *eroge* (*erotic game*). W latach 80. analitycy rynku elektroniki wskazywali na korelację pomiędzy popularnością danego systemu komputerowego (było ich wtedy kilkanaście na japońskim rynku, dość mocno niekompatybilnych) a jakością dostępnych na niego *eroge*. W praktyce znaczy to tyle, że *hentaje* zauważalnie pomogły IBM PC podbić japoński rynek konsumencki.

25% aplikacji wydanych w Japonii w 2016 roku stanowiły gry dla dorosłych. Nie była to ani bardzo duża, ani bardzo mała liczba w porównaniu z wynikami z poprzednich lat.

Pierwsze japońskie gry erotyczne były

w całości tekstowe i trudno właściwie mówić o nich w kontekście *hentai*. No, chyba że jako o prekursorach, bo wiele późniejszych gier opierało się na identycznej mechanice wzbogaconej o rysunki lub animacje. Pierwszym popularnym tytułem tego rodzaju były wydane na Apple II *Softporn Adventures*, dość zabawne zresztą dzięki konwencji absurdałnej komedii z wątkiem porno.

W 1982 ukazała się gra, uwaga, edukacyjno-erotyczna zatytułowana *Night Life*. Wydawca gry postawił sobie za cel urozmaicenie życia erotycznego japońskich par małżeńskich (tak, w instrukcji wprost napisano, że małżeńskich – Japonia to jednak przyzwoity kraj). Oprócz fabuły sugerującej małżonkom, jak podnieść nieco temperaturę w związku, zawierała ona m.in. kalendarzyk małżeński, encyklopedię pozycji seksualnych i pierwsze graficzne przedstawienie aktu seksualnego w historii elektronicznej rozrywki. Gra zdobyła sporą popularność i bywała wymieniana jako inspiracja przez innych ważnych twórców.

W 1985 moda na *lolicon* dociera na rynek PC za sprawą *Tenshitachi no Gogo*. Tu ilustracje są już *clue* wszystkiego i tak naprawdę to one sprzedają grę końcowym nabywcom. Inni wydawcy drapią się po głowach i zaczynają wydawać podobne rzeczy. Do znudzenia.

Znudzenie przychodzi na początku lat 90., kiedy nawet erotyczne RPG nikogo już nie dziwią i mało kogo jarają, bo ich autorzy coraz słabiej udają, że chodzi w nich o fabułę czy mechanikę. Czas eksperymentów odchodzi w przeszłość, przyszłość zaś należy do dwóch najlepiej pasujących do konwencji gatunków: *dating sim* i *visual novel*.

Pierwszym porządnym *dating simem* był *Dyokusei* z 1992 i gra, trzeba przyznać,

zaprezentowała dość ambitne podejście do tematu, bo nie wystarczyło tu zaciągnąć bohaterki płci przeciwnej do łóżka – trzeba jeszcze było sprawić, by się w bohaterze gracza zakochała. Gatunek kwitnie do dziś, nie ogranicza się jedynie do opcji „pan szuka pani”, czasem potrafi zaskoczyć złożonością mechaniki czy opowiadanej historii. Entuzjaści VR wróżą mu świetlaną przyszłość na nowej platformie.

Z kolei *visual novel* jako gatunek można liczyć w zasadzie już od *Night Life*. Są to produkcje na granicy gry i fikcji alternatywnej, gdzie cała aktywność gracza często ogranicza się do poznawania prezentowanej historii i dokonywania wyborów znaczących dla jej przebiegu. Całości towarzyszą zwykle ilustracje lub animacje. W Japonii niezwykle popularna rozrywka, 70% ichniego rynku gier to właśnie *visual novels*. Nie zawsze erotyczne.

TYMCZASEM W REALU...

Było o przyczynach, było o historii, teraz zastanówmy się nad skutkami, czyli: czy to dobrze, czy to źle, że Japonia eksportuje porno o kosmitach z mackami?

Pierwszy temat, jaki wypada tu poruszyć, to oczywiście szkodliwość pornografii. Krąży to widmo nad Europą od dłuższego czasu, w Polsce ostatnio znowu mieliśmy debatę na ten temat – a co na to nauka i praktyka?

Otóż, kiedy pogrzebiemy w policyjnych statystykach, okaże się, że Japonia jest od lat w pierwszej dziesiątce krajów z NAJMNIEJSZYM odsetkiem gwałtów (1 na 10000 mieszkańców i spada). Dowiemy się również, że delegalizacja pornografii nigdzie nie przyniosła widocznych pozytywnych skutków, za to legalizacja najczęściej wiązała się ze spadkiem liczby przestępstw

i zaburzeń seksualnych. Jest jeden wyjątek: łączenie w pornografii seksu z przemocą potrafi wyzwać u widzów agresję w realnych sytuacjach łóżkowych. Może też prowadzić do habituacji, czyli zmniejszenia odczuwanej przyjemności w normalnym kontakcie seksualnym.

Teraz wszyscy przypominają sobie czemu *Urotsukidoji* jest zakazane w UK. No właśnie. Może i dobrze, że jest. A może w dobie internetu zakazywanie czegoś, co ma kilkadziesiąt *seedów* w sklepie internetowym Pirate Bay mija się z celem. I lepiej postawić na edukację.

Od strony ekonomicznej i społecznej rysowana erotyka jest dla Japonii o tyle ważna, że stanowi jakieś 10% tamtejszego rynku *dojinshi*, czyli fanowskiej ekspresji artystycznej. U nas pisze się fanfiki o romansach Harry'ego z Malfoyem, u nich rysuje się fanfiki o romansach Naruto z Sasuke (oficjalnie najpopularniejszy motyw erotycznych *doujinów*). A rynek nie jest mały – największy konwent w Azji, tokijski Comiket, przyciąga corocznie jakieś pół miliona uczestników i wszyscy oni wyjeżdżają stamtąd bogatsi o jakieś formy fanowskiej twórczości. Istnieją całe grupy artystów zajmujących się wyłącznie amatorskim wytwarzaniem komiksów, czy to fanfików, czy oryginalnych pomysłów, na potrzeby niskonakładowego rynku *doujinshi*. Wielu twórców szlifuje w ten sposób warsztat i zdobywa markę, by po kilku latach przejść na zawodowość – od *doji* zaczynały m.in. grupy Clamp (*X*, *Chobbits*, *xxxHolic*) i 07th Expansion (*Higurashi no Naku Koro Ni*, *Rose Guns Days*).

Poza Japonią porno z mackami, jak praktycznie każdy wytwór *geek culture*, dla jednych bywa inspiracją i przedmiotem uwielbienia, dla innych – obiektem zajądłych ataków i zagrożeniem dla dziecięcej

moralności. I tak mangowe konwenty notorycznie obrywają od katolickiej prasy za promowanie pornografii czy satanizmu. Inna sprawa, że organizowanie pokazów animowanej pornografii (tzw. *Hentai night*) czy konkursów na dubbing do pornola na imprezie dostępnej dla nieletnich to trochę proszenie się o kłopoty, więc kto na kłopoty gotów nie jest, może powinien sobie odpuścić. Ale co ja tam wiem.

Z drugiej strony niejaki Amat Escalante zdobył rok temu Srebrnego Lwa za reżyserię filmu pod tajemniczym tytułem *The Untamed*. Fabuła owego filmu kręci się wokół pewnego kosmity z mackami i dwóch ziemskich kobiet w chacie na odludziu. Weneckie jury doceniło. Ciekawe, czy podczas ceremonii wręczania nagród ktoś krzyczał z widowni o moralności?

■ MICHAŁ SZYMAŃSKI

Walczyliśmy od zawsze.

Sprzeciw wobec historii o „kobietach, bydłe i niewolnikach”

Kameron Hurley

Tłumaczenie: Magdalena Grajcar

Opowiem ci teraz historię o lamach. Będzie podobna do całej reszty tych, które już znasz: jak mocne mają łuski; jak zjadają swoje krnąbrne młode; jak pod koniec życia rzucają się z klifów we wzburzone morze, niczym lemingi. Albowiem w głębi serca lamy są stworzeniami morskimi, zrodzonymi z morza, poślubionymi mu niczym żyjący z niego rybacy.

Każda opowieść o lamach jest taka sama. Widujesz je w książkach: biedne, nieszczęśliwe lamiańko schrupane przez wściekłego rodzica. W filmach: lamy-twardzielki, palące cygara i malujące swe łuski w moro.

A ponieważ ta historia jest ci tak znajoma, ponieważ znasz już naturę i pochodzenie lam, oczywiście czasem szokuje cię ich widok poza mediami. Lamy, które widujesz, wcale nie mają łusek. Wątpisz więc w to, co widzisz, i żartujesz z przyjaciółmi o „tych tam łuskowatych lamach”. A oni śmieją się i mówią: „No, ale mają łuski!”, a ty całkiem zapominasz o swoim osobistym doświadczeniu.

Pamiętasz za to widok lamy ze świerzbem, który faktycznie po dłuższej obserwacji wyglądał jakoś tak łuskowato. Pamiętasz tę jedną nieco agresywną w stosunku do lamiańka, jakby faktycznie zamierzała je zjeść. Zapominasz o lamach, które nie pasują do obrazu widywanego w filmach, książkach i telewizji. Znajomego z historii. Pamiętasz tylko takie, które zachowywały się dokładnie tak, jak w tych opowieściach. Nagle wszystkie lamy, które pamiętasz, pasują do tego, co widzisz i słyszysz każdego dnia od otaczających cię ludzi. Żartujesz o nich z przyjaciółmi. Masz poczucie zwycięstwa. Szaleństwo cię nie dotyczy. Jesteś jak wszyscy inni.

Wreszcie nadchodzi dzień, kiedy zaczynasz pisać o własnych lamach. Nikogo nie zaskakuje, że wybierasz nie te delikatne, puchate i niekanibalistyczne, które spotykasz naprawdę, bo nikt też nie uznałby ich za „realistyczne”. Wybierasz lamy z opowieści. Tworzysz lamy kanibalistyczne, kochające ryzyko i pokryte farbą.

Łatwo jest opowiadać historie takie same, jak wszyscy inni. I nie ma w tym nic wstydliwego.

Po prostu to bardzo leniwe podejście, co dla autora fantastyki jest chyba opcją najgorszą z możliwych.

Och, a poza tym nie ma w tym absolutnie żadnej *prawdy*.

Jako ktoś nieco bardziej obeznany z historią (Wszystkim, Co Było Przede Mną), jestem żywo zainteresowana prawdą. Prawda istnieje niezależnie od tego, czy ją widzimy, wierzymy w nią, czy o niej piszemy. Prawda po prostu jest. Możemy inaczej ją nazywać albo udawać, że jej nie ma, ale konsekwencje zostają z nami niezależnie od tego, czy chcemy je pamiętać albo przyjąć do wiadomości.

Kiedy spotkałam się z jednym ze swoich starszych profesorów w Durbanie w Południowej Afryce, by porozmawiać o mojej magisterce, ten zapytał mnie, dlaczego chcę pisać o opozycjonistkach.

– Bo kobiety stanowią dwadzieścia procent wojska Afrykańskiego Kongresu Narodowego – wybuchnęłam. – Dwadzieścia procent! Nie wierzyłam, kiedy to usłyszałam. Bo wie pan... Kobiety nigdy nie walczyły...

Przerwał mi.

– Kobiety zawsze walczyły – oznajmił. – Zulus Czaka miał cały oddział walczących kobiet. Kobiety były częścią każdego ruchu oporu. Kobiety przebierały się za mężczyzn i wyruszały na wojny, wypływały w morze i aktywnie uczestniczyły w walce od początku rodzaju ludzkiego.

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć. Amerykański system edukacji wykarmił mnie na monotonnej diecie teorii o Wielkich Mężczyznach historii. Musiałam pójść na osobne zajęcia z historii kobiet, by dowiedzieć się, co robiły one, kiedy

mężczyźni byli zajęci zabijaniem się nawzajem. Okazało się, że wiele z nich rządziło krajami i wymyślało całkiem skuteczne metody antykoncepcji, które miały szeroki wpływ na rozwój bardzo konkretnych miejsc, zwłaszcza Grecji i Rzymu.

Kobiety zapełniają pół świata, a jednak rzadko słyszy się opowieść, w której nie są tymi, którym coś się przydarza, a gdzie działają one same. Najczęściej określa się je jako czyjeś córki. Czyjeś żony.

Właśnie obejrzałam program rozrywkowy o pilotach samolotów bezłotniskowych na Alasce, gdzie każdy z pilotów miał swój krótki wstęp o rodzinie i pasjach, ale jedyna kobieta wśród tych pilotów otrzymała tylko podpis „Dziewczyna pilota X”. Dopiero kiedy zerwali w sezonie drugim, ona także otrzymała swój wstęp. Okazało się, że mieszkała na Alasce cztery razy dłużej niż reszta pilotów i prócz bycia doskonałym pilotem, spędzała czas na polowaniu, łowieniu ryb i wspinaniu się na lodowe urwiska. Ale opowieść mówiła o „kanibalistycznych lamach”, więc nasze oczy zaszklily się i przestaliśmy postrzegać ją w jakimkolwiek innym świetle.

Język ma moc i cudownie – oraz przerażająco – zmienia sposób, w jaki postrzegamy siebie i innych. Zapewne uświadomił to sobie każdy, kto choć trochę wie o wojsku i zwraca uwagę, jak o wojnie mówią media.

Nie zabijamy „ludzi”. Zabijamy „cele” (albo *żółtków*, *skośnookich* czy *ciapatych*). Nie zabijamy *piętnastoletnich chłopców*, tylko *siły wroga* (tak, każdy chłopiec od lat piętnastu zabity w ataku dronami zostaje automatycznie uznany za siły wroga. Nie za chłopca. Nie dziecko.).

A kiedy mówimy o *ludziach*, to tak naprawdę nie mamy na myśli *mężczyzn i kobiet*. Mamy na myśli *ludzi i kobiety*. Mówimy o *amerykańskich pisarzach* i „*amerykańskich*

pisarkach¹. Mówimy o nastoletnich programistach i nastoletnich programistkach².

A kiedy rozmawiamy o wojnie, to mówimy o żołnierzach i żołnierkach.

Bo tak właśnie się wyrażamy. Kiedy opowiadamy o historii i używamy słowa żołnierze, to automatycznie wyłącza ono z walki kobiety. Nie stanowi więc żadnego zaskoczenia, że ci, którzy odkrywali groby Wikingów, nie trudzili się sprawdzaniem, czy leżą w tych grobach mężczyźni, czy kobiety. Znajdowały się w nich miecze. Miecze są dla wojowników. A wojownicy to mężczyźni.

Minęły całe lata, zanim ktoś wreszcie po prostu obejrzał kości³, zamiast mówić: „Jak z mieczem, to faceti!”. I dopiero wtedy zaważono pomyłkę.

Kobiety także walczyły.

Tak naprawdę kobiety robiły wiele rzeczy, o które ich nie posądzano. W średniowieczu bywały lekarkami i szeryfami⁴. W Grecji bywały... chrzanić to. Posłuchaj. Foz Meadows wyjaśnia to o wiele lepiej i z wszystkimi odniesieniami i linkami – dla tych, którzy potrzebują „dowodów”⁵. Ujmijmy to tak: Jeśli myślisz, że istnieje coś – cokolwiek – czego kobiety nie robiły już w przeszłości, to się mylisz. Kobiety – zarówno wtedy, jak i teraz – przyzwyczyły się nawet do sikania na stojąco. Nosiły sztuczne penisy. Więc nawet

jeśli ci bardziej żartobliwi uniosą rękę i zakrzykną: „To niemożliwe, żeby kobiety robiły XI!”. Cóż. Robiły. Hermafrodyty i trans-kobiety też walczyły i umierały, często w annałach historii uznawane za niewłaściwą płęć, a potem zapomniane. I kiedy mówimy o kobietach i mężczyznach w kategoriach nie-naruszalnych i „historycznych”, pamiętajmy o ludziach, którzy od zawsze żyli i walczyli gdzieś w szczelinach pomiędzy⁶.

Ale nic z tego nie pasuje przecież do naszej opowieści. Chcemy mówić o kobietach tylko w jednej kwestii: bycia żonami, matkami, siostrami i córkami mężczyzn. W fikcji widując to bez przerwy. W książkach, w telewizji. Słyszę o tym w rozmowach.

O tych wszystkich kanibalistycznych lamach.

Przez co naprawdę trudno mi pisać o lamach, które nie są kanibalkami.

James Tiptree Jr. napisała bardzo interesujące opowiadanie o tytule: *Kobiety, których mężczyźni nie dostrzegają* [po polsku wyszło w czasopiśmie „Fenix”, nr 03 (30) 1994 oraz zbiorze opowiadań *Houston, Houston, czy mnie słyszysz i inne opowiadania* – przyp. red.]. Czytałam je w wieku dwudziestu lat i przyznaję, że miałam problem ze zrozumieniem, o co to całe zamieszanie. To miała być opowieść? Ale... wcale nie była! Przez cały czas więziła nas jako czytelników w głowie wręcz bezczynnego mężczyzny, podróżującego z kobietą i jej córką. Nie uświadamialiśmy sobie ich istnienia, tak samo jak ten mężczyzna, nie „widzieliśmy” ich. Dopiero na końcu opowieści uświadamialiśmy sobie, że to one tak naprawdę były jej bohaterkami.

Bo ta opowieść należała do mężczyzny. Była jego historią. To w niej uczestniczyliśmy. A kobiety stanowiły tylko przemykające w tle obiekty, postacie pomocnicze w tym

1 <https://www.theguardian.com/books/2013/apr/25/wikipedia-women-american-novelists>.

2 <https://www.tor.com/2013/05/09/lady-teenage-coder-fixes-your-twitter-so-no-one-can-spoil-game-of-thrones-for-you-again/>.

3 [http://content.usatoday.com/communities/sciencefair/post/2011/07/invasion-of-the-viking-women-unearthed/1?csp=34tech&utm_source=feedburner&utm_medium=feed&utm_campaign=Feed%3A+usatoday-TechTopStories+\(Tech+-+Top+Stories\)#.Wx_W6e6FPDc](http://content.usatoday.com/communities/sciencefair/post/2011/07/invasion-of-the-viking-women-unearthed/1?csp=34tech&utm_source=feedburner&utm_medium=feed&utm_campaign=Feed%3A+usatoday-TechTopStories+(Tech+-+Top+Stories)#.Wx_W6e6FPDc).

4 <http://the-history-girls.blogspot.com/2013/05/sword-and-scalpel-by-karen-maitland.html>.

5 <https://fozmeadows.wordpress.com/2012/12/08/psa-your-default-narrative-settings-are-not-apolitical/>.

6 <http://sovay.livejournal.com/611585.html>

ograniczonym otoczeniu.

Nie zauważaliśmy ich.

Kiedy miałam szesnaście lat, napisałam esej o tym, dlaczego kobietom nadal powinno się zabraniać walki w szeregach wojska Stanów Zjednoczonych. Znalazłam go niedawno podczas przeszukiwania starych papierów. Moim argumentem za tym, iż kobiety nie powinny uczestniczyć w walce, był fakt, że wojna jest okropna, a rodzina ważna, i skoro na wojnie umiera już tyle mężczyzn, to dlaczego chcemy, by umierały także kobiety?

Nie miałam innych argumentów.

„Kobiety nie powinny iść na wojnę tak, jak chodzą mężczyźni, bo by tam umarły.”

Dostałam szóstkę.

Często mówię ludziom, że jestem największą świadomą siebie mizoginką, jaką znam.

Zeszłej nocy pisałam scenę rozgrywającą się pomiędzy kobietą-generałem a mężczyzną, któremu pomogła wstąpić na tron. Zaczęłam wpisywać w nią trochę romantycznego napięcia i uświadomiłam sobie, jakie to leniwe podejście. Są przecież inne rodzaje napięcia.

Zrobiłam niewielkie odniesienie do niewolnictwa seksualnego i musiałam je potem wyciąć. Prawie zmusiłam go do użycia wobec niej szowinistycznej obelgi. Zawarczałam w stronę ekranu. Chciał pomóc uratować jej dziecko... Nie. Jej brata? Okej. Ona go zdradzi. Okej. On miał kiedyś żony, ale umarły... Ugh. Nie. Bliskich doradców? Przyjaciół? A może... po prostu ktoś go zostawił?

Nawet pisząc o społeczeństwach, gdzie seksualna przemoc wobec kobiet prawie lub całkowicie nie istniała, nadal opisywałam te same tropy i motywacje. „Cóż, ten gość jest zły, a tej bohaterce musi się przytrafić coś traumatycznego, więc może niech ją zgwałci”. Naprawdę tak zrobiłam, w pierwszym

szkicu mojej pierwszej książki, o pełnym przemocy społeczeństwie, gdzie stosunek kobiet do mężczyzn wynosi dwadzieścia pięć do jednego. Bo przecież Tak Się Robi.

Widziałam ostatnio serial, który podobno miał być o młodej dziewczynie, której przydarzyło się coś traumatycznego, a tak naprawdę dorzucono ją tam tylko dlatego, żeby dwóch bohaterów mogło się kłócić i spierać, który z nich ponosi winę za to, co ją spotkało. Dawno nie widziałam tak wyraźnego wymazania postaci kobiecej i jej doświadczeń. Ona w czasie tej sceny siedzi w tym samym pokoju i jakoś tak blednie w tle, podczas gdy oni w kłótni ukazują kolejne fakty o swoich postaciach.

Zapominamy więc, o czym jest ta historia. Wymazujemy z własnych opowieści te kobiety w naszym życiu, które są wpływowe, bezpośrednie, inteligentne i przerażające. Kobiety, które dźgają, miażdżą, zabijają, dowodzą, radzą sobie, posiadają i uciekają. Wiemy o tym. Doświadczamy tego każdego dnia. *Widzimy* to.

Ale oto nasza opowieść: dwóch mężczyzn w pokoju głośno się kłóci, a kobieta cicho wzdycha w kącie.

Czym jest „realizm”? Czym jest „prawda”? Ludzie mówią mi, że ich doświadczenia to prawda. Problem jednak w tym, że czasem trudno jest odróżnić to, czego naprawdę doświadczyliśmy, od tego, co powiedziano nam, że doświadczyliśmy albo tego, czego *powinniśmy* byli doświadczyć. Jesteśmy istotami społecznymi i omylnymi.

W sytuacjach ekstremalnych statystycy człowiek zapyta o opinie czterech innych osób, zanim uformuje własną⁷ i dopiero potem podejmie jakieś działanie. Przy odpowiednim zacięciu można wytrenować ludzi w szybkim reagowaniu na takie sytuacje (na

7 <https://io9.gizmodo.com/the-frozen-calm-of-normalcy-bias-486764924>

przykład w wojsku), ale w większości przypadków jakieś siedemdziesiąt procent istot ludzkich będzie wołało po prostu nie wychodzić poza codzienną rutynę. Lubimy nasze historie. Abyśmy podjęli jakiegokolwiek działanie, potrzeba nam bardzo przekonujących dowodów, albo – co ważniejsze – słów wielu, wielu ludzi wokół nas.

W wielkich miastach widzimy to cały czas. To dlatego ludzie są w stanie wdać się w bójkę albo zaatakować kogoś na zatłoczonym chodniku. Dlatego właśnie są mordowani w środku dnia, a włamania zdarzają się nawet do domów w uczęszczanych okolicach. Większość ignoruje to, co niecodzienne. Albo, co gorsza, ma nadzieję, że zajmie się tym ktoś inny.

Pamiętam, jak jechałam kiedyś metrem w Chicago, w wagonie z kilkunastoma innymi pasażerami. Nagle mężczyzna po drugiej stronie wagonu spadł z siedzenia. Po

prostu... przewrócił się na podłogę. I zaczął trząść. Pomiędzy nim a mną znajdowała się trójka ludzi. Ale nikt nic nie powiedział. Nikt niczego nie zrobił.

Wstałam.

– Proszę pana? – odezwałam się i zaczęłam iść w jej stronę.

I dopiero wtedy wszyscy nabrali tempa. Zawołałam do kogoś z tyłu, żeby nacisnął przycisk powiadamiania kierowcy, by poprosić o wezwanie karetki na następną stację. Kiedy ja zareagowałam, nagle na pomoc ruszyła jeszcze trójka albo czwórka ludzi.

Ale ktoś musiał zadziałać *pierwszy*.

Innego dnia stałam w metrze, gdzie były tylko miejsca stojące i patrzyłam, jak młoda kobieta przy drzwiach zamyka oczy, po czym upuszcza trzymane papiery i segregator na podłogę. Była ściśnięta, otoczona innymi pasażerami, ale nikt nic nie powiedział.

Jej ciało zaczęło wiotczeć.

– Wszystko w porządku?! – zapytałam głośno, pochylając się w jej stronę. I wtedy inni ludzie też spojrzeli, a ona zaczęła upadać. Zrobił się szum i ktoś z przodu wagonu zawołał, że jest lekarzem, ktoś inny ustąpił jej miejsca i ludzie ruszyli, ruszyli, ruszyli.

Ktoś musi na głos zauważyć, że coś jest nie tak. Nie możemy udawać, że nic nie widzieliśmy. Bo ludzie bywają mordowani i napađani na rogach ulic, mijani przez setki innych, którzy udają, że nic się nie dzieje.

A udawanie, że coś jest normalne, nie sprawia, że jest takie naprawdę.

Ktoś musi to wytknąć. Ktoś musi wywołać poruszenie.

Ktoś musi *zadziałać*.

Pierwszy raz w życiu użyłam broni palnej jeszcze w szkole średniej, w domu mojego chłopaka. Najpierw strzelby, potem obrzyna. Od tego czasu nauczyłam się całkiem niezłe obchodzić z pistoletem typu Glock. Nadal słabo mi idzie ze strzelbą, ale miałam okazję



Joanna Cyd Petruzenko

strzelać z AK-47, ulubionej broni rewolucjonistów na całym świecie, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych.

Pokonałam mój pierwszy dziewięćdziesięciokilogramowy worek treningowy za pomocą gołej pięści w wieku lat dwudziestu czterech.

Uderzenie ręką znaczyło więcej. Strzelać potrafi każdy. Za to ja wiedziałam, jak poprawnie walnąć pięścią w twarz. I to mocno.

Dorastając, uczyłam się, że kobiety wypełniają pewne konkretne role i robią konkretne rzeczy. Nie chodzi o to, że nie miałam świetnych wzorów do naśladowania. Kobiety w mojej rodzinie były matriarchalne i ciężko pracowały. Ale historie, które widziałam w telewizji, filmach, a nawet wielu książkach dowodziły, że to anomalia. Futrzaste, niekanibalistyczne lamy. Bardzo rzadkie.

Te historie się myliły.

Spędziłam dwa lata w Południowej Afryce i kolejną dekadę po powrocie do Stanów na dowiadrywaniu się wszystkiego o kobietach walczących. Odkryłam, że walczyły w każdej rewolucyjnej armii, a na dodatek te armie składały się z kobiet nawet w dwudziestu-trzydziestu procentach. Ale kiedy mówimy „armia rewolucyjna”, to co właściwie sobie wyobrażamy? Jaki obraz przywołują te słowa? Czy armia w twojej wyobraźni składa się z trzech kobiet i siedmiu mężczyzn? Sześciu kobiet i czternastu mężczyzn?

Podczas drugiej wojny światowej kobiety nie tylko wytwarzały bomby i broń. Same łąpały za tę właśnie broń, kierowały czołgami i latały samolotami. Wskażcie dowolną wojnę domową czy rewolucję, a ja pokażę wam przypadek, gdzie kobieta złapała kapelusz i broń, by do niej dołączyć. I tak, Zulus Czaka też przyjmował wojowniczkę. Ale kiedy mówimy o „wojownikach Zulusa Czaki”, to co sobie wyobrażamy? Czy myślimy o tych

kobietach? Czy też ich nie widzimy? Tych, które, jeśli znajdą się w naszej opowieści, zostaną uznane za „nierealistyczne”?

Oczywiście, że mówimy o kobietach, które walczyły razem z Zulusem Czaka. Kiedy wpisuję w Google „kobiety walczące z Zulusem Czaka”, dowiaduję się o jego „haremie tysiąca dwustu kobiet”. Oraz, oczywiście, jego matce. I jeszcze widzę takie popularne zdanie: „Kobiety, bydlę i niewolnicy.” Na jednym wdechu.

Łatwo jest myśleć, że kobiety nigdy nie walczyły i nie dowodziły, skoro nigdzie jakoś nas nie widać.

Co to da, jeśli będziemy opowiadać ciągle te same wyswiechtane historie? Te same wyswiechtane kłamstwa? Jeśli kobiety walczą, dowodzą i unoszą połowę nieba, czym są historie wobec prawdy? Nie zmienimy prawdy, wypisując z niej ludzi.

Prawda?

Historie mówią nam, kim jesteśmy. Do czego jesteśmy zdolni. Myślę, że kiedy wyruszamy na poszukiwanie historii, w wielu przypadkach tak naprawdę ruszamy na poszukiwanie siebie samych, próbując zrozumieć życie własne oraz życia otaczających nas ludzi. Historie i język mówią nam, co jest ważne.

Jeśli kobiety to „suki”, „cipy” i „kurwy”, a ludzie, których zabijamy to „skośnoocy”, „żółtki” i „ciapaci”, to tak naprawdę nie są ludźmi, prawda? Łatwiej ich wymazać. Łatwiej ich zabić. Zignorować. Nie widzieć.

Ale gdy tylko wyobrażymy sobie świat na nowo jako wrzący ul pełen indywidualności o wielu płciach i wyjątkowych, pasjonujących historiach, które tylko czekają na opowiedzenie – wtedy ignorować takich ludzi jest już dużo trudniej. Nie są już „kobietami, bydlęm i niewolnikami”, ale aktywnie odgrywają role w swoich własnych historiach.

I w naszych.

Bo kiedy decydujemy się pisać opowieści, nie opowiadamy tylko jednej. Bo ona należy do nich. I do ciebie. I do nas. Istniejemy wszyscy razem. Wszystko dzieje się tutaj. Jest mgliste, złożone, często tragiczne i przerażające. Ale ignorowanie całej połowy ludzkości, udawanie, że kobiety żyją i żyły w tylko jeden sposób – mianowicie w odniesieniu do otaczających je mężczyzn – to nie wymazywanie pojedyncze, ale już polityczne.

Zapełnianie świata mężczyznami, bohaterami, ludźmi płci męskiej i ich „kobietami, bydłem i niewolnikami” to akt polityczny. Świadomie decydujesz się wymazać *połowę świata*.

Jako opowiadający historię mamy wiele innych, dużo ciekawszych wyborów.

Mogę cały dzień opowiadać ci, że lamy mają łuski. Mogę ci to narysować. Mogę napisać historię od nowa. Ale to będę tylko ja, a moje kłamstwa nie staną się historią, jeśli się ze mną nie zgodzisz. Jeśli nie będziesz pisać tak, jak ja. Jeśli nie podchwycisz mojej leniwej opowieści i nie podasz jej dalej.

Aby tak się nie stało, musisz doświadczyć

poczucia winy za to wymazywanie. Ty, ja, my wszyscy.

Nie pozwól na to.

Nie bądź leniem.

Lamy ci podziękują.

Prawdziwi ludzie też.

■ **KAMERON HURLEY.** SA TAKIE CHWILE, GDY TEKST OPRÓCZ WARTOŚCI LITERACKICH NIESIE ZE SOBĄ PRZESŁANIE I KAŻE NAM ZASTANOWIĆ SIĘ NAD OTACZAJĄCYM NAS ŚWIATEM. TAKIM TEKSTEM BEZ WĄTPIENIA SĄ ŁUSKOWATE LAMY KAMERON HURLEY...

KILKA LAT TEMU BYŁO O TYM NAGRODZONYM HUGO ESEJU BARDZO GŁOŚNO; CIESZĘ SIĘ, ŻE SMOKOPOLITAN MOŻE PRZYBLIŻYĆ GO POLSKIM CZYTELNIKOM. KAMERON HURLEY JEST ZNANĄ W FANDOMIE ESEISTKA, KTÓRA NIE BOI SIĘ PORUSZAĆ WAŻNYCH TEMATÓW; W 2016 ROKU UKAZAŁ SIĘ JEJ ZBIÓR TEKSTÓW PUBLICYSTYCZNYCH O TYTULE THE GEEK FEMINIST REVOLUTION. KAMERON PISUJE RÓWNIEŻ OPOWIADANIA I POWIEŚCI; MA NA KONCIE 2 NAGRODY HUGO. MIESZKA W OHIO [PZ].

ŚCIEŻKI WYOBRAŹNI

Skafander i melonik

antologia sekcji literackiej LOGRUS



PREMIERA 14.07.2018

NA POLCONIE



CHODOROWSKA ☆ CHOLEWA ☆ FEDYK ☆ HRYCYSZYN ☆ LASIK

ŁAGAN ☆ POTOCKA ☆ SOKÓLSKA ☆ TEMPŁOWICZ